



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY” (wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośzeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicą: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi
Królewska Nr. 4.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgar nie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: Pod datą dzisiejszą A. Świętochowskiego. — O potrzebie reformy nauczania języków J. Karłowicza. — Z Francyi B. Saryusza. — Rozszczępanie pracy K. Dunina. — Badania dziejowe. Szkice historyczne Kubali W. Smoleńskiego. — Z przeszłości. Fragmenty Dramatyczne M. Konopnickiej T. T. Jeża. — Piśmiennictwo polskie: Encyklopedia wychowawcza J. Laskowskiego; Pokociło się 1 dam nogę E. Orzeszkowej. — Nowy zabytek języka polskiego. K. — Liberum Veto. — Jubileusz Newtona Władysł. Sz. — W perspektywie. — Tydzień polityczny. — Kronika bieżąca. — Na pogrzebie, powieść Wł. Okońskiego.

POD DATĄ DZISIEJSZĄ.

Do głównej nici w osnowie poprzedniego na tem miejscu rozumowania nawiążemy dziś kilka dopełniających uwag. Rzekliśmy, że o trwałem istnieniu narodu nie stanowią jego warunki i środki polityczne, ale summa oraz wysokość sił i dorobków cywilizacyjnych. Nie przeczyliśmy i nie przeczymy, że owe warunki i środki składają otoczenie, ubezpieczające pomysłny rozwój narodu. Odzież osłania nas od skwaru lub zimna, ale nie tworzy człowieka; również i państwo jest tylko pancerzem społeczeństwa. Jak długo pokój będzie wzajemnem warczeniem a wojna zagryzaniem się ludów, dopóty one muszą na sobie nosić ten pancerz. Czyli, mówiąc językiem przykładu — dopóki po obu stronach granicy dwu sąsiednich plemion lub mocarstw potrzebują stać strażnicze kordony wojsk, dopóty owe plemiona lub mocarstwa nie mogą zdejmować politycznego rynsztunku. Nie znaczy to przecież, ażeby w ich zakresie nie istniały cywilizacyjnie całkiem odrębne żywioły, chociaż pozbawione praw państwowego maszerowania pod własną chorągwią. Otóż stawiamy przed sobą dziś pytanie: czy ogół nasz pojmował i ukochał narodowość swoją przeważnie ze strony politycznej, czy też społecznej?

Jeżeli sięgniemy w dalszą przeszłość, odpowiedź na to pytanie skreśli nam się bardzo wyraźnie. Polska, uprzywilejowawszy jeden żywioł, była nadewszystko państwem. W historii naszej lud znika, mieszczaństwo ledwie w ostatnich wiekach słabo się wyłania, ciągle występuje tylko szlachta, jako jedyny i niezmiennie ruchliwy czynnik polityczny. Mówimy *polityczny*, bo obładowany albo raczej przeładowany najrozmaitszego rodzaju urzędami.

Najskromniejszej miary herbowicze, jeśli nie wisieli całkiem na łasce pańskiej, posiadali jakieś, bodaj honorowe godności. Miecznicy, stolnicy, wojscy, nie mówiąc o wyższych zaszczytach, roili się po kraju. Czytając zeszlowieczne pamiętniki, trzeba się zdumiewać nad trudami naszych przodków w pogoni za tytułikiem komisarza lub rotmistrza... chociażby bez rotty. Najwyższą pociechę dla chudego szlachcica na zagrodzie stanowiło to, że, bodaj w przysłówiu, był równym wojewodzie. Komu tylko los pozwolił być „urodzonym,” każdy przyjmował udział w życiu politycznem; nie umiając się podpisać, rozmyślał nad zawieraniem traktatów, wypowiedzaniem wojen, ograniczaniem praw korony lub wysyłaniem poselstw do odległych krajów. Zapomniawszy o skutkach tej jednostronności życia, przyznać musimy, że szlachecy przodkowie nasi, bardziej niż jakikolwiek inny naród, byli wyćwiczeni politycznie. Gdzież bowiem posiadacz kilku morgów gruntu, który nigdy nie widział szkoły, który na ucztach sejmikowych wlewał sobie flaki do kaptura u burki, był tak obeznany z całym ustrojem państwa i jego zewnętrznymi stosunkami? A jeżeli nerwy ruchu i czucia politycznego zbiegły tak nisko, to jakże potężnie musiały one rozgałęziać się i wiązać u góry, w rdzeniu narodu! Nie mówiąc o możnowładztwie, nawet uczeni i poeci przyrastali do ustroju państwa, jako jego mniej lub więcej ważne organa. Ledwie zdołalibyśmy odszukać takich, którzyby nie zdobili się tytułem jakiegoś urzędu. Ten kierunek życia musiał się odbić i w literaturze. Teoryj a przynajmniej wywodów politycznych nasłuto bardzo dużo, ale teorie społeczne zaczęto prząść wówczas dopiero, gdy się tamte porwały. Jeszcze czcigodny Staszic, rozwijając swój pogląd na ekonomiczne stosunki kraju, zadziwiał współczesnych niezwykłością widoku. Co przy takim usposobieniu i skierowaniu warstwy uprzywi-

lejowanej rozumiano przez istnienie narodu, odgadnąć nie potrzeba. To też gdy grom strasznej konieczności kilkakrotnymi uderzeniami rozbił budowę państwową, z pod jej gruzów wydobył się rozpaczliwy okrzyk *Finis Poloniae*. Nie wydał go, jak sprawdziła historia, Kościuszko pod Maciejowicami, ale wydała go szlachta, która utraciwszy podstawy życia ściśle politycznego, nie dostrzegała wcale gruntu, na którym by przyszłość narodu oprzeć mogła. Gdy zginęło wojsko i potargana się lub porwała cała sieć form państwowych, zginęło dla niej wszystko. To też cały szereg późniejszych usiłowań był przeważnie ratunkiem politycznym — niemożliwym, nie zaś społecznym — możliwym.

W czynach spełnionych uznajemy tylko niezłomną konieczność. Ani więc na ustach, ani pod piórem, ani nawet w myśli nie mamy najmniejszego słowa nagany dla ludzi, którzy z pożytkiem czy szkodą legli w grobach dziejów. To, co się stało, świadczy samo za siebie, że się stać musiało. Ale najzupełniejsze zrzeczenie się prawa a może przyjemności zapisywania na marginesach historii potomnych wyroków nie przeszkadza nam wcale odsłaniać zdarzeń w ich rzeczywistej postaci i rzucać światła na przyczyny obecnych skutków. Jeżeli zaś nadmierne skierowanie uwagi naszych ojców na polityczną stronę życia, połączone z lekceważeniem społecznej, spowodowało wiele pomyłek i nieszczęść, dotąd przez nas odczuwanych, to zarazem przyznać trzeba, że popełnione błędy nie przepadły marnie. Z posiewu smutnych doświadczeń wzrastają ciągle owoce dojrzałości narodu. Nie mając tego, co nas kiedyś zupełnie pochłaniało, zaczęliśmy uprawiać odłogi, z których zbierzemy obfite plony. Potrosze już od pół wieku, a wytrwale po przegraniu ostatniej politycznej stawki, zmieniliśmy drogę naszego dzwigania się z upadku — hazardową grę polityczną na powolny cywilizacyjny dorobek. Może w całej naszej

stori nie ma podobnego okresu ciężkiej niezmordowanej pracy. Jeżeli prawdą jest, że w jednej strasznej chwili człowiek może poświęcić, to naród nasz poświęcił przed 17 laty. Od tej chwili zmieniliśmy się do niepoznania. Te same żywioły, które wówczas rozdmuchiwały współczesne zawiewy, dziś gaszą nawet pożary przeszłości. Zamiast miechów, widzimy w ich ręku sikawki. Kto by tak niedawno jeszcze miał publicznie ganić orężne porywy i zacząć spokojne wewnętrzne odradzanie się? Tymczasem dziś tam, gdzie marzenia polityczne, nieczem nie tłumione, rosną najbujniej, w Galicyi i Poznańskiem, najgłośniej odbywa się rozbrat z niemi. Bo przecie głównej arcy polskiego ultramontanizmu feodalnego szlacheństwa, w krakowskim czasie, co lekkomyślnie podniecał ostatnią orężką a dziś znieważa tych, których może sam nią zaraził—w nim nawet możnabyładztwo galicyjskie złożyło nowy testament poprawionego patriotyzmu. Niezobór to zapewne dla nas taki zakon, w którym klecha furmani panu w karecie, ciągniętej przez kilka par chłopów, w którym trata tytułów polskich wynagradza się nim zakupem austriackich, w którym polityka narodu zastąpiona jest polityką siebie służby na niemieckim łańcuchu, ale w każdym razie dowód głębokiej zmiany wyobrażeń.

Bezwątpienia, jest to ruch świeży, dołtero rozpędowy, wzmaga on się jednak coraz bardziej i wpada w takt ogólnego biegu cywilizacji. Jakiegokolwiek przyznajemy cechy temu biegowi, nie ulega wątpliwości, że on jest demokratycznym. Pojawiając nawet łatwe do zgromadzenia fałszy, trudno wyobrazić sobie żywotny naród arystokratyczny, któryby poniewierał ludem i wydziedziczał go z praw, któryby zgardliwie wyosobniał z pośród siebie mieszczaństwo, słowem, któryby w własnym kole zatamował główne tętnice zdrowia państwa. My zbyt niedawno jesteśmy społeczeństwem w swych składowych częściach

zrównoważonem, ażebyśmy mogli odrazu zmienić w sobie odziedziczoną krew przeszłości i dorównać innym ludom, które odbyły długi proces przerabiania się stosunków społecznych. Dla nas jeszcze rodowód jest w szerokich kołach tytułem wartościowym, z każdej hrabiowskiej pałki wystrzela jeszcze w naszych oczach promień godności, przyzwyczajeni do oprawiania ludzi w ramy polityczne grupujemy ich według rang, dotąd urzędnika nie zestawiamy na równym poziomie z kupcem lub przemyslowcem a całą szlachtę uważamy za oczekujących stosownej pory kandydatów na przewodnie w narodzie stanowiska. Konieczność pracy już pojmujemy, ale na jej równouprawnienie godzimy się niechętnie. Pomiędzy jej polami istnieją dla nas, chociaż zwolna przyorywane miedze, odgraniczające zagony szlachetne od nieszlachetnych. Był wietrznik, którego przodkowie nie polizali nawet herbu, wyjechawszy do Wiednia lub Paryża wpina sobie w nazwisko *von* lub *de*, jak kwiatek w klapę tużurka. Niewielu zapewne jest u nas ludzi, którzyby zdolni byli wyobrazić sobie rzemieślnika lub kupca jako przedstawiciela narodu, zwłaszcza że literatura, dochowująca jeszcze dawny byzantynizm, nad zbliżaniem się i spokrewnianiem żywiołów słabo pracuje.

Te i tym podobne jednak objawy, jakkolwiek liczne, nie powinny nam zasłaniać innych, z których wykwiata nadzieja przyszłości. Już coraz więcej widzimy obywateli ziemskich, najbardziej obowiązanych chronić szlachecką tradycję od pobrudzenia łokciem lub wagą, oddających dzieci swoje do rzemiosł i handlu; już urząd przestał być marzeniem klas średnich a posiadacz pięknie zaprzężonej czwórki ideałem panien dobrze urodzonych. Mieszamy się, krzyżujemy i łączymy, a raczej konieczność tasuje nas jak talie kart, nie zważając na to, że tuż może się znaleźć obok waleta, a dama obok młódki. Teraz właśnie, gdy losy skazały nas na bierność politycz-

ną, zaczęliśmy rozwijać się społecznie, wyrównywać przepaście i kojarzyć odrębne żywioły, słowem demokratyzować nasze stosunki i zasady. Ze wszystkich procesów, które odbywają się w łonie naszego narodu, ten może najgłębiej i najdalej sięgnąć swym wpływem. Bez niego szlachta nasza wiecznie przedstawiać będzie dla świata obraz grzyba na dzikim i sękatym pniu ludu; wiecznie pozostaniemy dla niego anachronizmem cywilizacji, dogorywającym gatunkiem jej zwyciężonych w walce o byt rodzajów. Arystokratyzm jest suchotami narodu: nieleczony nadaje z początku pewien łagodny wdzięk i mocne rumieńce, ale wkrótce go dusi. A my przecież nie jesteśmy jeszcze tak starzy, ażebyśmy własną ręką grób sobie kopać mieli. Przeciwnie, chociaż bogatszą mamy od innych historię, należymy w Europie do najmłodszych pokoleń narodów. Chciejmy więc żyć i przestrzegajmy higieny społeczeństw zdrowych. Stańmy się raz społeczeństwem, społeczeństwem demokratycznym, nieodurzonem ani swoją mniemaną wyższością, ani wyższością pewnych w sobie stanów. Sama szlachta była rzeczywiście polskim narodem, ale nim nie jest i być nie może. Chociaż rozproszone po Europie stado naszych panów zaczyna się wabić, nie obiecujemy sobie niczego z ich połączenia.

Tyle *pod datą dzisiejszą*. Wprzód obraz niż ramy...

A. Świętochowski.

O POTRZEBIE REFORMY W NAUCZANIU JEZYKÓW OBOCZNYCH.

Nie dotykając pytania, czy potrzebne są nam języki obce, które z nich mianowicie, w jakim stopniu i w jakim wieku powinny być wykładane, zamierzam tutaj okazać, że obecna metoda nauczania ich jest wadliwa i że z gruntu należałoby ją przeobrazić, według zasad, które postaram się w krótkości przedstawić.

— Dziś już panie mamy oś jak mur. Wzięmę nowiusienkę, jescie niesmarowaną.

— Dobrze, mój Marcinku, ale nie pojedziemy.

— Cemu? — zawołał zdziwiony.

— Bo pan Wilkołyski zaprosił na noc.

— E — cmoknął Marcinek — djabli skarali z takim noclegiem. A tożby się panowie na bryce lepiej przespaci mogli. W Przytyku wróble już gniazd nie ścielą, nie ma nawet cem zęba wykluc.

— Nie rezonuj — oburknał się Józef — i idź do koni.

— Nie wiem, co państwo na to powiedzą — mruknął Marcinek i oddalił się.

Przeszliśmy kwaśni na drugą stronę dworca, szukając Wilkołyskiego. Dostrzegłem go zdala, dającego przyciszonym głosem jakieś napomnienia młodemu chłopcu w poszarpanej furmańskiej libery.

— A pamiętaj, jak masz odpowiedzieć — rzekł do niego odchodząc.

Wysoka, barczysta jego postać rysowała się wspaniale na tle nocy, rozjaśnionej światłem kolejowej latarni. W ruchach, w podniesieniu głowy, w starannem ubraniu znać było pana i człowieka, który nie potrzebował rozpierać tłumy kulkami dla wolnego przejścia, bo tłum sam przed nim się usuwał. Przy blasku dnia Wilkołyski mógł mieć lat czterdzieści, ale gdy pod cieniem wieczoru znikły lekkie zmarszczki

Z KRONIKI MŁODOŚCI.

II.

NA POGRZEBIE.

— Panowie daleko jedziecie? spytał, częstując papierosami, nasz dziwnie wesoły towarzysz, który przez godzinę wspólnej podróży w jednym wagonie zdołał nam powiedzieć dużo swoich szczęśliwych zaśladowców na wyścigach.

— Do Otwocka.

— A, to wysiadamy razem.

— Ale my jeszcze trzy mile końmi.

— Dokądże?

— Do Owsianek, majątku rodziców mojego kolegi.

— Zatem mam przyjemność spotkać pana Gołębskiego — rzekł nieznajomy, zwracając się do Józefa. Jestem niemal pańskim sąsiadem — Wilkołyski.

Nastąpiły wzajemne ukłony i zapewnienia, że nam wszystkim trzem było „bardzo przyjemnie.” Jakkolwiek o panu Wilkołyskim słyshałem dość często i dość wiele, awiając jednak zaledwie przez kilka tygodni podczas wakacji w domu państwa Gołębskich, nie miałem sposobności a wresz-

cie i chęci go poznać. Właściwie nawet zapominałbym zupełnie o jego istnieniu, gdyby nie nasza przygoda z osią w Przytyku.

— Długo panowie zostajecie jeszcze w uniwersytecie?

— Skończyliśmy już kursa i jedziemy odpocząć — odpowiedział Józef.

— A powinszować, powinszować — zawołał Wilkołyski i uściśnął nam ręce.

Lokomotywa gwizdnęła, dojeżdżaliśmy do stacyi.

— Kochany sąsiad — rzekł ujmując nasz znajomy do Józefa — nie odmówi mi wraz ze swym kolegą wielkiej przyjemności. Jest już wieczór, ciemno, macie panowie trzy mile do domu, zanoćcie u mnie — zgoda?

Daremnie w ścisłem ze mną przymierzu Józef wymawiał się od tych zaprosin — Wilkołyski umiał tak nas skruszyć swemi serdecznościami, że musieliśmy uleść.

— Zróbcie to — mówił — dla człowieka, który was szczerze pokochał i który również niedawno opuścił ławkę uniwersytecką.

— Gdzie pan kończył? — zagađnął Józef.

— Spytaj pan, gdzie nie kończyłem — odparł Wilkołyski, chwycił oba nasze tłumaczki a gdy drzwi od wagonu otwarto, podał je kolejowemu posługaczowi.

Wysiedliśmy. Marcinek, najmowany furman Józefa, spostrzegłszy nas, podbiegł, zdjął czapkę i kłaniając się, rzekł do mnie wesoło:

Głównymi wadami dotychczasowego sposobu znajomienia dzieci i młodzieży z językami obcymi wydają mi się następujące:

1) Używanie metody dedukcyjnej (nazwijmy ją zstępną) i wynikający ztąd dogmatyzm, aprioryzm, słowem narzucanie prawideł i wyjątków z góry, wyglądające raczej na katechizację, aniżeli na rozsądne poznawanie pewnej grupy zjawisk.

2) Bezmyślne dobieranie zasobu językowego, mającego służyć za ilustrację reguł i regulek, wciskanych dogmatycznie w głowy uczniów.

3) Umysłne zamykanie oczu na zdobycze językoznawstwa porównawczego, ignorowanie pierwotnego powinowactwa języków oraz międzynarodowych węzłów cywilizacyjnych, wyrażających się w słowach, zdaniach i zwrotach, zapożyczonych z mów obcych.

Przypatrzmy się zbliżka tym zarzutom i postarajmy się je uzasadnić.

Bierzemy mowę i gramatykę łacińską za materiał do naszych wywodów i dowodów.

Co do pierwszego zarzutu. Odkrywamy na chybił trafił kartę 74 powszechnie znanej gramatyki łacińskiej Zumpta i czytamy co następuje.

Rozdział 18, paragraf 77. „Rodzaj wyrazów trzeciej deklinacji. Żeńskie. Femininami są wyrazy kończące się na *as, is, ys, aus* i *x*, a także na *es*, gdy w genitiwie nie dostają nowej zgłoski, oraz na *s* z poprzedzającą spółgłoską, np. wyrazy: *auctoritas, navis, chlamys, laus* (oprócz tego tylko jeszcze *fraus*), *pax, radix, arx, nubes, pars, mors, hiems*. Wyjątki na *as*. Maskulinum jest *as*, 2 przypadek *assis*, wraz z jego częstkami i złożonemi, choćby inaczej zakończonemi, np. *quadrans* ówierc *asa*, *bessis* dwa *asy*, oraz wyrazy greckie, mające w genitiwie *antis*....“

Potem następują wyjątki na *is*, potem heksametr o siedmiu wierszach, obejmujący 37 maskulinów na *is*, zaczynający się tak:

„Mascula sunt panis, piscis, crinis, cinis, ignis, Funis, glis, vectis, follis, fascis, lapis, amnis...“ i t. d.

potem wyjątki na *ys*, na *x*, *es*, *s* i wreszcie nowy ustęp drobnym drukiem.

Z kilkuset wyrazów, zamieszczonych w tym rozdziale, *kilku* zaledwie znaczenie jest podane, resztę czytamy tylko po łacinie.

Charakterystycznym jest następny frazes (str. 74): „*Ze mas, maris samiec i vas,*

vadis poręczyciel, są generis masculini, wynika to z powszechnego prawidła o rodzaju.“

Więc *mas* i *vas* nie dla tego są rodzaju męskiego, że tak je chce mieć zwyczaj języka łacińskiego, oraz męskie znaczenie ich: samiec i poręczyciel, ale dla tego, iż *powszechne prawidło o rodzaju* tak nakazać raczyło.

Powiedzmy otwarcie, taka metoda wykładu gramatyki jest przewróceniem rzeczy do góry nogami. Wszakże nowsze badania filozoficzne i pedagogiczne dowiodły nam, że nauczanie jest to stopniowe obeznawanie się z nieznanymi rzeczami i przedmiotami. Wszakże nikt nie wątpi, iż chemii albo fizyki uczyć się można tylko z doświadczeń i wśród doświadczeń, botaniki z dostrzeżeń, astronomii z teleskopu, rolnictwa z roli; a tymczasem języka uczymy nie z języka, ale z książki, narzucając uczniom prawidła i prawidełka, wyjątki i wyjąteczki, poparte z łaski czasami jakim takim przykładem, którego nawet znaczenia nie raczymy powiedzieć. Zdaniem mojem metoda zstępna (*dedukcyjna*) zgoła jest niewłaściwą tutaj, a nawet szkodliwą, przytępiającą, bo zamiast zmuszać ucznia do współprawnictwa w odtwarzaniu prawideł języka, narzuca mu cudze, suche, dogmatyczne pewniki, każe mu się ich uczyć bezmyślnie na pamięć i wcale się nie odwołuje do jego myśli, lecz tylko do mechanicznej pamięci.

Nie należy myśleć, że Zumpt jest karykaturą lub objawem przedawnionej metody pedagogicznej. Owszem, gramatyka jego kwitnie i dziś w trzynastym wydaniu, a inne gramatyki łacińskie, nie wyjmując naszych szkolnych Kühnerów i Krämerów, ani na włos w metodzie nie odstępują od ustalonej powszechnie dogmatyczno-dedukcyjnej normy. Toż samo można powiedzieć o wszystkich gramatykach szkolnych wszystkich nauczanych u nas języków. Nawet owe „najnowsze metody“, z kluczami i bez kluczów, są tylko pozorem niby ulepszeniem starej rutyny: wszędzie tkwi uparcie dawny, scholastyczny Alwar, wszędzie dogmat zamiast żywego faktu.

Zanim przejdę do wskazania lepszych. zdaniem mojem, dróg nauczania, muszę wprzód zastanowić się nad drugim zarzutem, dotyczącym zasobu językowego, używanego przy dotychczasowym poznawaniu języków; nie wyjaśnwszy bowiem mojego poglądu na zbiór i układ materiału mó-

wnego, nie mogę dokładnie wyrazić zapatrywania mojego na metodę wykładu.

Powiedziałem, iż obwiniam dzisiejszy sposób nauczania języków obcych o *bezmyślne dobieranie zasobu językowego*. Nie rozwodząc się nad tem szeroko, proszę sobie przypomnieć ów głęboki a pełen myśli frazes, przytoczony przez Litwosa z jakiejś gramatyki:

„Koń cudzoziemca zjadł guzik sąsiada.“ Albo ową nieśmiertelną ozdobę gramatyk łacińskich;

„Terra est rotunda et globosa.“

Na każdej stronie pierwszej lepszej gramatyki czytelnik znajdzie dziesiątki i setki podobnie mądrych frazesów. Są one utworem umyślnie dla reguł i wyjątków: historia nosa dla tabakiery!

Czy się godzi nadużywać w ten sposób daru, zwanego potocznie rozumem? Czy wolno, niby dla wyjaśnienia suchych dogmatów gramatykarskich, obarczać pamięć młodzieńca bezmyślnymi, powiedzmy otwarcie—głupimi frazesami, które nie mówią nic, nie mogą się wrazić w pamięć, są bezbarwne i tępe?

A z drugiej strony, co za korzyść z tych zdań i okresów, utworzonych przez autorów gramatyk *ad usum delphini*? Kto zaręczy, że są one zbudowane w duchu języka, którego gramatykę mają niby ilustrować?

Badając *język* trzeba z *języka* brać przykłady. Autor gramatyki i nauczyciel powinni tedy sobie postawić za prawidło: nie podać ani jednego zdania, któreby nie było wzięte z żywej mowy i któreby nie miało jakiegoś zajmującego, pouczającego znaczenia. Zwrócić się więc należy do przykładów, pieśni ludowych, maksym lepszych pisarzy, ucinków, kalamburów, podań o nazwach ludzi i miejsc, mylnych słoworodów, anegdot, nadpisów starożytnych i nowożytnych, nazw urzędów i innych terminologii, formuł prawnych, politycznych, religijnych,—słowem do mowy rzeczywistej, typowej, oryginalnej. Ma się rozumieć, że przy nauczaniu języków starożytnych zająć tu muszą pewne ograniczenia; ale mimo to, zasób zajmujących zdań i urywków można nagromadzić niemały.

Czyż nie stosowniej i nie rozsądniej, aby uczeń, zamiast takich frazesów, jak „Podaj mi nożyczki, które leżą na stole“, albo „Dom sąsiada wyższy jest od naszego“

i brodawki jego bladej, prawidłowej, czarnym wąsem ozdobionej twarzy, wyglądał na świeżo dojrzałego męzczyznę, który począł dopiero kosztować życia.

— Trzeba przyznać, że obywatel ten ma fason — rzekł Józef, odczuwający zawsze towarzyską wytworność.

— Dla krawców pociecha—wtrąciłem.

— Jesteście panowie — zawołał Wilkołyski—no, jedziemy. Grzegorz, Grzegorz!

— Co pan każe — odezwał się posługacz kolejowy.

— Kuferki nasze są już w powozie?

— Wszystkie.

— Zatem, siadajmy.

— Marcinek, za nami! — krzyknął Józef i ruszyliśmy do stojącego w głębi pod drzewami... powozu, który okazał się malutkim, starym, nieśmiłościwie poturbowanym wolantem. Tłumoczki nasze zajęły całe jego wnętrze, z poprutych ceratowych poduszek sterczały grochowiny a nadto podziurawione pudło chwiało się za najmniejszym dotknięciem. Na szczęście tę rozbitą skorupę miały ciągnąć dwa wysokie i chude konie, od których nie można było się spodziewać zbytniego zapalu.

— A ty psubrace, czem przyjechałeś? krzyknął na furmana Wilkołyski, założwszy binokle i przypatrzwszy się bacznie swemu ekwipażowi.

— Proszę jaśnie pana wszystkie cugowe oberwały się wczoraj z kantarów i jak

wpadły na ploty, tak sobie het pościerały nogi.

— A nie mogłeś zaprządz do powozu?

— Kiedy jaśnie pani kazała po siebie przysłać a kareta za ciężka.

— To furman! Cztery konie okaleczył i jakiegoś grata tu przywłókl. Przepraszam panów—rzekł zwracając się do nas—za tego gapia i za niewygodę, na jaką mimowolnie naraził was muszę.

— Jedźmy bryczką Gołębskiego—wtrąciłem, podsuwając najszybsze rozwiązanie komedii.

— Tak źle jeszcze nie jest—odparł Wilkołyski — przeleciemy szybko.

Usiedliśmy z podkurczonemi i pomieszczanemi nogami, jak na czułych szalkach, równoważąc ciągle pochylenia wolantu.

— A trzymaj konie mocno — upominał Wilkołyski—zeby się nie zlekły i nie zbiegały.

One też, jak gdyby dla dogodzenia swemu panu, nie słuchały rzesistych smagań furmana i nie dały nawet lekkim truchtem powodu do obawy. Za nami, gwizdząc sygnały pocztowe, jechał Marcinek, rozparty na swojej szerokiej bryce, którą Gołębski, oszczędny gospodarz i wróg zbytku, zwykł był w porze roboczej wraz z końmi najmować dla przywiezienia syna. Ach, z jakąż tęsknotą zgnieciony i połamany na pańskim wolancie, oglądałem się za tym prostym, drobnoszlacheckim korabiem! Jedyną

rozkoszą była piękna, wonna i orzeźwiająca noc lipcowa, która zlewała balsamym na wszystkie dolegliwości podróży tortury.

Długo mileczeliśmy, wreszcie Wilkołyski, chcąc zapewne nas pocieszyć lepszą nadzieją, rzekł:

— Moje *Sans souci* jest ustroniem skromnem, ale posiadam w niem coś, co, przynajmniej w naszej okolicy, jest rzadkością.

— Cóż takiego zapytałem.

— Zobaczycie panowie. Rozpocząłem niezwykłą u nas hodowlę, po której spodziewam się wielkich rezultatów. Nie przeczę, że dotąd jest to tylko rozrywka, ale rozrywka, obiecująca poważną korzyść. Trudno, musimy wyjść z dotychczasowego deptaka gospodarczego a raczej rozszerzyć jego koło dla dwu względów: dla przyjemności osobistej i dla podniesienia kultury. Proszę panów, mówmy szczerze: czy człowiek z wyższym umysłem może zadowolnić się jednostajnem wychowywaniem bydła, koni, owiec i swojskiego drobiu, a przytem czy przemysł krajowy powinien ciąć wiecznie kręcić na jednym miejscu? Wszystkie szlachetniejsze gatunki zwierząt, bobry, tumaki, wytępiłiśmy, a nowych gatunków nie przyswajamy. Dla czego Ameryka jedynie ma posiadać papugi a Azja słonie? Dla czego nasze lasy, pola, rzeki nie zapełniają się fauną innych stref? Na pytania te odpowiadano mi zawsze, że poeta. Nie

miął sobie podawaną taką np. mozaikę łacińską:

Sta sol.—Vale et me ama.—Anegdota o Eo rus—i.—Nutrimentum spiritus (nadpis na bibliotece berlińskiej).—Res sacra miser (nadpis na domu Dobroczyńności w Warszawie).—Legenda o bocianie z tabliczką na szyi i z nadpisami na niej: Haec ciconia ex Polonia i t. d.—Virtuti militari.—Rewera Potocki.—Veni Creator mundi Spiritus.—Pater noster i t. d.—Silva rerum.—Biberius Caldius Mero i Tiberius Claudius Nero.—Mit o Finis Poloniae.—Et tu, Brute, contra me.—Caveat consul itd. Hannibal ante portas.—Neminem captivabimus i t. d.—Usque ad finem.—Anegdota o bernardynie, który mówił bonus vinus.—Disce puer i t. d.—Wiadomość o Maleventum i Beneventum.—Requiem aeternam i t. d.—Mater misericordiae i t. d. (nadpis na Ostrej Bramie w Wilnie).—De revolutionibus orbium coelestium.—Verbum nobile i t. d. i t. d.

Takich frazesów, objaśnionych stosownie, uczeń uczy się łatwo i chętnie. Od nich trzeba zaczynać naukę każdego języka. Pó kilku miesiącach dopiero, gdy uczący się będzie miał już w głowie parę tysięcy żywych, zajmujących, barwnych zdań i okresów, przystąpić można do tak zwanej gramatyki.

Tu właśnie muszę słów kilka powiedzieć o metodzie wstępnej (*indukcyjnej*), zastosowanej do tej tak zwanej „suchej” nauki.

Suchą uczyniła ją scholastyka i pedanteria, przekształcając z dyscypliny doświadczałnej na dogmatyczną. Obowiązkiem jest naszym odwrócić piramidę, postawić ją na szerokiej podstawie indukcji i uczynić zajmującą.

Dopiąć tego można jedynie uprzytomniając sobie na każdym kroku wielkie zasady filozofii i pedagogiki. Te powiadają, że uczeń nie powinien myśleć, budować, tworząc, uogólniając; że uczeń, skracając w głowie swej całą robotę przeszłych wieków tej nauki, powinien na nowo odtworzyć tę naukę, którą bada; że nauczyciel powinien być tylko regulatorem niezaprzeczanej pracy indukcyjnej w mózgu ucznia.

Jednem słowem: uczeń sam powinien niejako tworzyć gramatykę, a nauczyciel winien mu w tem dopomagać, wspierając go radą metodyczną lub posilkami faktycznymi. Stosując to do łaciny i nagro-

madzonych wyżej frazesów łacińskich, należy, aby uczeń, znając ich spory już zapas, wyszukał naprzód wszystkie imiona, potem wszystkie pierwsze przypadki, potem układał je w kategorie (niby gatunki, rodzaje); nauczyciel mu dopomoże, oświecając go np. że gramatyka od wieków odróżniła i przezwala skupienie zakończonych na *a* pierwszą deklinacją, że do niej należą przeważnie imiona żeńskie i t. d. Potem toż samo powtarzać z dalszymi przypadkami, z innemi częściami mowy, ze składnią, aż się przejdzie wszystkie formy wyrazów i zdań.

Trzeba gramatykę traktować jak botanikę, wyrazy jak osobniki roślinne. Gdy się wyjdzie na łąkę i zerwie kwiat, to się dochodzi, do jakiej rodziny, gromady, klasy on należy. Tak samo trzeba postępować i ze słowami. W oddzielnym kajejcie porobić rubryki i wpisywać do nich kolejno znalezione wyrazy i rzeczowniki w 1 przypadku oddzielnie, podług zakończeń, w 2-m znowu oddzielnie, czas teraźniejszy w różnych osobach znów w oddzielnej kategorii itd. itd. Słowem należy, aby uczeń odtwarzał sam gramatykę danego języka. Taka droga istotnie go czegoś nauczy, i nie znudzi, i rozwinię ogólnie, i pracować nauczy, wskaże drogę myślenia i dochodzenia samodzielnego, robienia dostrzeżeń, rozróżniania, gatunkowania. A obok tego, ileż cennego materiału poda głowie i sercu jego sama treść zasobu językowego: przysłowia, maksymy wielkich ludzi, apoftegmaty filozoficzne, anegdoty, alluzye historyczne, — wszystko to wcale niemało się przyczyni do ogólnego rozwoju młodej głowy. Trzeba, aby było jak u owego Rzymianina: „nulla dies sine linea,” tak tu „żaden wyraz bez znaczenia”. Jak życie każdego człowieka jest skróconym procesem asymilacji kilka milionów lat może, tak samo i nabywanie każdej nauki powinno być streszczonymi dziejami jej utworzenia, odbudowania pracą jednej głowy. Takie tylko przyswojenie nauki jest czegoś warte: reszta to paplanie papugi, albo manipulacye małpy.

(Dokończenie nastąpi).

Jan Karłowicz.

Z FRANCYI.

Paryż, 1 stycznia 1881 r.

Portalisa *Dwie Rzeczypospolite*. — Plan przebudowania społecznego. — Szukanie w ustawie źródeł nowego życia. — Sprawa kobieca. — Paradoxy i żarliwość. — Dumas i Girardin. — Zkąd wschodzi słońce postępu.

Wśród mnóstwa nowości, jakimi obecna pora zasila świat umysłowy, materyał przedstawia się bogaty. Nie chcąc jednak do korespondencji zsypywać luźnych faktów, jak do woreczka kamyczki, zastanowimy się dziś nad jednym z nich, ciekawszym od innych.

Pan Edward Portalis, naczelny redaktor dziennika *La Vérité*, wystąpił pod koniec roku z dziełem większych rozmiarów p. t. *Dwie rzeczypospolite*. Skorzystamy z niego właśnie w celu zapoznania czytelnika z poglądami tego publicysty, poruszającymi najszerzej zagadnienia chwili teraźniejszej. Różnice zapatrywań autora z naszymi wytkną zarazem główne punkta przekonań sprawozdawcy.

Wierny hasłu swej gazety, p. Portalis całą treść dzieła sprowadza do twierdzenia, które pod pewnym względem obala dotychczasową definicyę rządu republikańskiego we Francyi, wypowiedzianą w znanych słowach Thiers'a: „Rzeczypospolita, jeśli ma być, musi być zachowawczą.” Autor nasz utrzymuje natomiast, że, jeśli ma być, musi być przede wszystkim z założeniami swemi i zasadami zgodną, czyli — *prawdziwą*.

Zgodność tę z prawdą p. Portalis upatruje w szeregu zmian ustawodawczych, mniej więcej naruszających lub usuwających obecne podstawy publicznego porządku we Francyi, poczynając od przejrzenia i przerobienia dzisiejszej konstytucyi państwowej w duchu reform, nakreślonych jeszcze przez zgromadzenie narodowe 1849 roku, t. j. idących w kierunku ubezpieczenia udziału głosowania powszechnego w administracji, sądownictwie i polityce krajowej. W tem założeniu autor porusza wybitniejsze sprawy porządku dziennego obrad ciał rządowych i zajęcia opinii publicznej: sprawy wychowawcze, religijne, samorządu gminnego i prowincjonalnego. Jest on za oddzieleniem spraw kościoła od spraw państwa, za wprowadzeniem lub rozszerzeniem zasady wyborczej w trybunałach, za jedną Izbą ustawodawczą, za usta-

przebieg, bo do wszelkich śmiałych ruchów potrzeba nieco poezji.

Wilkołyski mówił z takim zapalem i przekonaniem, że mnie ujął dla swych pomysłów wzbogacenia fauny krajowej. A, więc on na to rujnuje majątek i tem wyrabia sobie sławę szalaławy! — pomyślałem.

Zajęci tym przedmiotem, dojechaliśmy wreszcie do Przytyka. W miarę jak posuwaliśmy się w głąb wioski, rozmyślania moje nad hodowlą papug u nas ustępowały miejsca wspomnieniom dziwnego pogrzebu, którego byłem świadkiem minionej jesieni. Przed oczyma stanęły mi żywo płaczące nad grobem krowy dzieci, zrozpaczony wiośniak, chora jego żona. Zdala już upamiętniałem znajomą chatę, którą pomimo niemności rozpoznałem dokładnie. Na widok tej łąki mi z serca się wycisnęła. Patrzyłem ciekawie, szukając oczyma jakiegoś znaku doli biedaków. Z okna błyskała światłeczko, na podwórzu jednak nie było niczego; tylko przed domem stała poważnie czarna krowa obok młodej białej jałowicy.

Patrz — krzyknąłem uradowany, szarpnąwszy Józefa za rękę — ma!

— Co pan takiego dostrzegłeś? zapytał Wilkołyski.

Opowiedziałem mu nasze zdarzenie.

— No, osądź pan teraz — rzekł — czy to są ludzie! Maż nie płacze nad chorą żoną, dzieci nad matką, ale gdy im krowa zdecydnie, wpadają w rozpacz.

Słuszności tego spostrzeżenia zaprzeczyć nie chciałem; więc umilkliśmy, tem bardziej, że konie Wilkołyskiego, które na szczęście ani razu przez drogę się nie zlekły, poczuwszy bliskość stajni, pozwoliły sobie lekkiego truchta.

— Trzymaj mocno! trzymaj! — wołał na furmana dziedzic Przytyka.

Przy kilkakrotnem trzasku z bata zajęchaliśmy przed dom. Na spotkanie nasze wysunął się tylko smukły z wieżyczką ganek, przez który, nabiwszy sobie kilka guzów w niskiej sieni, weszliśmy do pustego przedpokoju. Przy oknie, na którym paliła się mała łojowa świeczka, stał niemłody izraelita i kiwał się, mrucząc wieczorną modlitwę. Spostrzegłszy nas, sklonił się lekko i dalej szeptać począł, odwrócony plecami. Wilkołyski, ujrzawszy go, poczerwieśniał, ale rzekł z przymuszonym uśmiechem, wprowadzając nas do ciemnego pokoju.

— Tylko żyd i pies wiernie domu strzegą, ręczę panom długoletniem doświadczeniem. A ten stary arendarz jest tak do mnie przywiązany, że z pewnością w tej chwili za mnie się modli.

Zapaliwszy świecę, gospodarz przeprosił nas i wyszedł do niewidzialnej służby. Owocem tej wyprawy była herbata, chleb z masłem i spodeczek konfitur.

— Po kawalersku, panowie, po kawalersku. Kto nie ma żony, nie ma kuchni.

Wyznam, że nigdy mi cudze kawalerstwo mniej nie smakowało. Byłem tak głodny, jak Ugolino, i omal nie zacząłem ogryzać własnych palców. Jakkolwiek Wilkołyski upewniał nas, że wegetaryanizm jest najdobroczyńniejszym w jedzeniach wieczornych, że świeże powietrze dziwnie go zasycza, nie zauważył jednak widocznie w nas wyznawców swojej higieny, bo poradził, ażebyśmy po trudach podróży udali się wcześniej na spoczynek. Życząc przyjemnych marzeń, powiodł nas przez pustą izbę do trzeciego pokoiku i na progu pożegnał. W sypialni stały dwa stare, na czerwono pomalowane łóżka. Zbliżywszy się do jednego z nich, spostrzegłem brudną, niepowleczoną pierzynę, położoną zamiast materaca na kilku poprzecznie przeciągniętych sznurach, na niej wykropkowaną przez muchy, pajaki i pchły poduszkę a do okrycia zwykłą końską derę. Z pościeli tej wydobywała się mocna woń kuchni i stajni. Stałem z załamanemi rękami nad tem gniazdem, w którym los mi niewinnie kazał całą noc przespać. Obejrzałem się — Józef dumał równie zgnębiony nad podobnem łóżem.

— Wpadliśmy — co? rzekł z uśmiechem.

— Podobno lepsza chłopska stodoła, której się tak obawiałeś.

W tej chwili wszedł do pokoju zaspany parobek, niosąc nam dzban wody i miskę.

nowieniem rzetelnej odpowiedzialności ministerialnej w miejsce dzisiejszej — gołosłownej. Widzimy z tego, że autor roztrząsa wszystkie te punkta szczegółowe, które w chwili obecnej są przedmiotem żywych sporów i polemiki stronnictw we Francji. Rozbierać je szczegółowo nie jest na teraz naszym zadaniem. W miarę nadchodzących faktów i o ile one zająć będą w stanie ogół nasz, dotkniemy nieraz każdy z nich osobno. Teraz zaś zwróćmy się do dzieła Portalisa jedynie z pytaniem: jaki jest wspólny charakter jego projektowanych przebudowań?

U wstępu zaraz zauważyć winniśmy, że autor za wiele ufa życiodawczej sile ustawy, za mało natomiast przenika w głąb zagadnień, jakie na wierzch społecznego bytu wynosi stary obyczaj lub nowa potrzeba, tegoczesna wiedza lub zakorzenione przesady, zaskrzepłe cierpienia lub zdroj świeżych pragnień.

Bezwątpienia, słusznie utrzymuje p. P., że rozszerzone i ulepszone instytucje państwowe ułatwiają swobodny rozwój inicjatywy społecznej; ale to także pewne, że same przez się nie mogą one przewidzieć natury objawów owej inicjatywy, ani często jej nawet cierpieć. Znana to prawda, że społeczeństwa przebudować od razu, wedle architektonicznego planu, niepodobna. Ztąd pomysły prawne, nieoparte na postrzeżeniu budzących się przez postęp nowych potrzeb i już istniejących, oraz utrwalonych przez wieki a postępowi zawadzących prądów, są jakoby ramami i płótnem do obrazu, którego kompozycyja malarz nie uzmysłowił jeszcze w swej wyobraźni, a tem samem nie obliczył jej rozmiarów, ani stosunku figur.

Walny to niedostatek książki Portalisa, bogatej w wywody prawno-polityczne, ale za ubogiej w fakta życia poczerpnięte. Dla uwydatnienia tej słabej strony dzieła, weźmiemy za przykład sprawę, rozstrzygniętą przez piosnę publicystów francuskich od chwili, jak ją, po raz już nie wiem który, podnieśli na nowo dwaj posiwiali na tem polu zapasnicy: Aleksander Dumas i Emil Girardin. Mówię o sprawie równouprawnienia kobiet, czyli według obecnego, ścieśnionego jej zakresu—o sprawie przypuszczenia ich do głosowania. Punkt ten wysuwam naprzód i dla tego jeszcze, że z jednej strony jestem zwolennikiem zasady bezwarunkowego usamowolnienia ko-

biety, tem nie mniej jednak ze strony drugiej różnię się zarówno z Dumasem jak z Girardinem i Portalisem co do skuteczności wskazanej przez nich drogi. Portalis pospół z tamtymi mniema, że przede wszystkim ustawa trzyma kobietę w niewoli i uposledzeniu. Otóż sądzę, że jest to raczej skutek obyczaju uświęconego nietylko przez wychowanie i przesady, przez nadużycia silniejszych i bezbronność słabszych, lecz nadto przez usta tych samych publicystów, którzy stając w szeregu obrońców kobiety, są nieraz najniebezpieczniejszymi jej nieprzyjaciółmi: rzucając paradoksy—jak Dumas, objawiając zbytnią gorliwość, — jak Girardin, lub obierając błędną drogę—jak Portalis.

Co może być np. smutniejszego nad zasady Dumasa, który dziś z rewolwerem w ręku radzi kobiecie wywalczyć prawo o udział w głosowaniu, on, który przed niewielu laty ogłaszał ją za pół człowieka, pół małpią istotę i chełpił się: „że kobietę rozebrał w teatrze publicznie, ochłostał i napiętnował.“

Smutne to są zwroty, choć zgrabnem dzisiejsze do winy przyznanie—smutne dla tego, że nie wzbudzają bynajmniej wiary w nowo-wytworzony pewnik i pozwalają przypuszczać ciąg dalszy wahadłowych ruchów autora.

Co myśleć również o teoriach Girardina, zaczynających i kończących reformę na żądaniu, aby dzieci nosiły miano matki i aby wzbudzić przyjmowania matek, gdyż „lepiej jest, jeśli watek dziecię bogatego umrze z braku zdrowego pokarmu, niż dziecko tej, która swój pokarm wynajmuje za pieniądze.“ Spartańskie to niewątpliwie rady, ale jakże niepraktyczne, jak do śmieszności przesadzone, a wkraczające przytem w dziedzinę, niegraniczoną wcale z równouprawieniem kobiety. Owóż takie i tym podobne wysoki świadczą wymownie, że zawilość, że nierozum dzisiejszych form społecznego bytu tkwi nie tyle może w ustawie, która jest tylko formalnie uogólnionym wyrazem panujących w narodzie przekonań, lecz raczej w jałowości i lichocie umysłowego gruntu. Tym też wysokom zawdzięczamy, że tak zwana „kwestya kobieca“ wynurza się tu od czasu do czasu nad poziom zagadnień bieżących, szamocze się, rwie i znowu pada, jak przedziurawiony balon, któremu wydymania i wydmuchiwanie dumasowskie

czy girardinowskie nie pomóż nie zdołają. Przeciwnieństwa i filozoficzno-polityczne antytezy, wychodzące z nedoręczności u Dumasa, lub dochodzące do nich u Girardina, mogą zaledwie chwilowo odświeżyć jednostajność politycznego życia, zastrzają na pół godziny małżeńskie spory i niesnaski lub staro-kawalerskie nadzieje, naprawia zepsuty humor reporterów, ale... nic więcej. Nasyciwszy lub przesycając się niemi, każdy wraca do stanowiska przedrewolucyjnego: pan mąż do biura, pani żona do kuchni, a w cichy kąt idą serca splakane, do swobody wzdychając...!

Pan Portalis, nie tyle chorujący na młodą ideologię, niby pozytywistyczną, cierpi raczej na zastarzałą podagrę abstrakcyjnego demokratyzmu z roku 1848. Chce świat dzisiejszy przebudować mniej dzwacznie, mniej radykalnie co do matek, nianiek i rewolwerowej obrony praw, ale, jak już wspomnieliśmy, formułą prawną, dekretem z ławki, wyrokiem z wolterowskiego fotelu. Niestety, ustawa urównoważa jedynie pierwiastki, istniejące w narodzie, a jakże urównoważyć to, co albo nie istnieje w życiu albo się od tej szali wyłącza? We Francji pytanie to właśnie rozbrzmiewa bardzo pustem i bardzo złowrogim echem.

W żadnym może kraju obyczaj i opinia nie są w tej mierze więcej zacofane i stężałe w sprawach takich, jak usamowolnienie kobiety. Ustrojona modnie pustka umysłowa z jednej strony, kościół z drugiej, wpłynęły tu na nieuprawność gruntu do tego stopnia, że chyba może francuzi ostatni pociągają za innymi ludami w dziele przeróbki stosunków familijnych. Już Littré zaznaczył przed dwoma laty, że Francja, pomimo pozornej bezwyznanowości, jest krajem głęboko zakorzenionych polipów klerykalnych. Jakimże więc cudem potrafiłaby ustawa wprowadzić kobietę do Izby poselskiej, gdy pojęcia o jej przeznaczeniu nie wyszły jeszcze ze sfery średniowiecznych przesądów, gdy ogół jeszcze myśli o *hodowlanem* stanowisku jej w komnacie męzowskiej? Dodajmy do tego modniarski zakrój gustów i przekonań stanów zamożnych, ich poniewierkę wszelkiej niebawidelkowej wartości niewieściej, ich zmysłową brutalność i umiłowanie wszystkiego, co przynosi bezwzględna wygodę używania—i osądźmy, czy jest bliską speł-

— Mój przyjacielu—odezwał się Józef—pamiętajcie tam o moich koniach.

— A dyć pamiętać by się pamiętało, ale kiej Aron, jak zabrał ostatnie dwa cugowe, tak teraz wszystko wywozi. Nie ma ani garści owsa.

— Pięknie ten żyd za niego się modli—rzekłem po odejściu służącego.

Zarzucając na brudną pościel surduty, okryci paltotami, położyliśmy się spać. Zaledwie jednak przymrużyłem oczy, poczułem przebiegające mi po twarzy i rękach jakieś drobne żyjątka. Józef także syknął i zerwał się na równe nogi. Zapaliliśmy świecę: wszelkiego rodzaju domowe, nader obślaskawione owady roily się na naszem posłaniu.

— A więc to pewnie hodowlę tych gatunków obiecał nam pokazać Wilkołyski—rzekł Józef. Mogłby je wytępić bez uszczerbku dla fauny krajowej.

Polowanie w łózkach zajęło nas do brasku dnia. Uzbroiwszy się w cierpliwość i tolerancję, sprobowaliśmy znowu zasnąć. Na domiar jednak naszej niedoli w sąsiednim pokoju jakiś ptak zaczął takie wyprawiać harce, tak bić skrzydłami o ścianę, że w połączeniu z wędrówką owadów ciągle nas rozbudzał. Nareszcie zrobiła się cisza; robaczki nasyciły się, czy też złagodniały i my znużeni zapadliśmy w sen głęboki.

Ledwie słońce zabłysło, zerwaliśmy się obaj, umyli, a że ręczników nie podano,

otarliśmy się chustkami, czekając niecierpliwie wyjazdu. Przebyte cierpienia dostarczyły nam wątku do wesołej rozmowy, gdy nagle z sąsiedniego pokoju, w którym hałasował ów ptak, ryknął przeraźliwie Wilkołyski. Wbiegliśmy przerażeni: dziecko *Sans souci*, w białiznie i szlafroku, siny z gniewu, z rozrzuconymi włosami, zacisnąwszy pięście, krzyczał na błądzą od strachu dziewczkę.

— Uduśz cię, szelmo, pod bronę przywiąż, kolek w gardło zabić każe.

— Proszę jasnie pana — tłumaczyła się dziewczka—co ja winna, że on przelknąć nie mógł.

— Coś ty winna, zbrodniarko, to nie mogłaś podrobić!

Tu Wilkołyski uderzył ją kulakiem w twarz, porwał za kark i wucił do kuchni.

— Przepraszam panów — rzekł sapiąc wzburzony—ale co ta suka mi zrobiła. Zamierzyłem rozpocząć na wielką skalę hodowanie bażantów. Pojechałem aż nad granicę austriacką, do hr. Potockiego, kupiłem za 15 rs. jedną samicę, przywiozłem ją przed dwoma tygodniami w klatce, pielegnowałem jak dziecko, teraz znowu byłem w Skierniewicach dla kupienia samca, tymczasem ta kłoda dała wielkich klusek, bażant się udławił i zdechł. Widzicie teraz panowie, jak to z naszym ludem można wprowadzać do gospodarstwa nowe gatunki.

W tej chwili dopiero spostrzegłem na podłodze martwego bażanta, któremu z dzioba wyglądał koniec olbrzymiej kluski.

— Janie!—krzyknął Wilkołyski.

Przybiegł parobek.

— Rąbać mi tu zaraz podłogę, wykopać dół i pochować tego ptaka w pokoju, tak w pokoju. Niech przynajmniej złodzieje wiedzą—rzekł po odejściu parobka—że to nie zwykła kura, którą się za płot wyrzuca

Jan przyniósł siekiere i rydel, wyrąbał dziurę, zrobił mały grób i ze czcią złożył bażanta. Gdy go zasypywał, Wilkołyski westchnął głęboko wzruszony i rzekł filozoficznie:

— Ot, bądź bażantem wśród podłego drobiu, zadławia cię prostą kluską.

Zachowawszy należne temu uroczystemu pogrzebowi milczenie, opuściliśmy ementarz. Nawet i o wegetaryjańskim śniadaniu nie mogło być mowy. To też pożegnawszy gospodarza, który nas stokrotnie przeprosił za doznane przykrości, siedliśmy na bryczkę.

Wyjechawszy na drogę, spojrzeliśmy sobie z Józefem w oczy i parsknęli gwałtownym śmiechem.

W. Okoński.

nienia dekretowo-prawna propaganda Dumasa, Girardin'a lub Portalis'a?

Toż samo dałoby się powiedzieć i o innych rojeniach tego autora. Chcieć dekretami tylko, nimi wyłącznie, zbudować drugą rzeczpospolitą, rzeczpospolitą prawdziwą, nie zaś pod osłoną nowych nazw zastosowującą stare nadużycia, jest to szczeplić w narodzie zasady liberalne, wypisując na publicznych gmachach wielkie hasła liberalizmu. Wyryte zgłoski widomie czernić będą na frontonach, głosząc przechodniom: „wolność, równość i braterstwo“ a tymczasem czyliż to przeszkodzi wypadkom życiowym rozwijać się dalej ruchem dawno nabytym?

Spytajcie pana Molinarego autora, niedawno wydanego dzieła: *Rozwój ekonomiczny w wieku XIX*; czy na przekór hasłom po murach paryskich społeczność tegoczesna idzie istotnie ku swobodzie, nie ku nowemu feudalizmowi, już tylko wprowadzić przemysłowemu, ale wstrętniejszemu może jeszcze od dawnego, bo jego wykładnikiem nie groźna ramieniem rycerskość, lecz cicho uśmiechnięty podstęp, zasadzka i poufna zdrada...? Bądźmyż uważni na fakta i nie dajmy się uwodzić różnym nadziejom malowanych etykietek prawnych. Rzeczpospolita z prawami Tytusa Liviusza a z obyczajami, narowami i przesadami, których historykiem Tacyt—to coś potworniejszego jeszcze, niż miano uczciwości podszytej podłym czynem.

Wobec cywilizacya nie rodzi się na murach prawodawczych. Światła, wiedzy, cnót i godności w postępkach, dzielności w wykonaniu śmiałych idei, poświęcenia dla wszystkiego, co ofiary godne, nie ma litera prawa. Są to skutki innych przyczyn, tkwiących w duchowej istocie narodu, w jego przekonaniach, które wychowawca szkoła, książka, pismo.

To prawdziwa Izba głosząca... Z niej głos przenika w najodleglejsze zakątki świata. Ustawodawstwo obyczajowe leży w ręku pisarza i w jego to pojęciach społeczeństwa budulec na ową drugą rzeczpospolitą francuską, do której się modli demokratycznie p. Portalis... Nie oczekując zatem wszystkiego od dekretów i kodeksu, musimy pracować każdy po swojemu dla prawdy! Z pracy tej pożądane skutki się narodzą, dojrzeją, łatwiej lub trudniej.

Bolesław Saryusz.

Gospodarstwo Społeczne.

ROZSZCZEPIANIE PRACY.

II.

Wszystkie te fakty, jak już wspomniałem, były logicznym następstwem starej ekonomicznej maksymy, w którą wierzone i której z zasady hołdowano. Każdy grosz, który gotówką na zewnątrz domu miał być wydany, uważano, nawet w klasie bardzo uboższej, niemal za zmarnowany, i niejednemu co trwonil bez rachunku płody domowe, skąpił, gdy chodziło o jakiś najdrobniejszy zakup. Tak było u nas, tak było dawniej wszędzie, choć zmienilo się wczesniej. Dziś u nas już widzimy wyraźne dążenie w kierunku przeciwnym, wyraźne uwalnianie gospodarstw domowych z tego nieporodnego balastu i zastępowanie go wytworami przemysłu zewnętrznego, poza-domowego. Przekonano się, że wypada to taniej i wygodniej; jednocześnie bowiem zamiast systematu gospodarczego, wywiera się cały szereg nowych zawodów

publicznych, nowych gałęzi pracy, skierowanych wyłącznie ku obsłudze ogółu i zastępowaniu mu tego, o co kiedyś każdy na swoją rękę starać się musiał. Występują tu mianowicie dwie znane i dziś powszechnie wyznawane zasady ekonomiczne, t. j. podział pracy i idea stowarzyszenia. Wydzielenie się takich zawodów z chaosu domowego gospodarstwa i skupianie w rękę pewnej liczby fachowych specjalistów, obliczających działalność swą na obszerne koło spożywców, dozwoliło wprowadzić do nich wszelkie, a dla przedsięwzięć jednostek zbyt uciążliwe ulepszenia a zarazem koszta ich możliwie zniżyć.

Obie zresztą powyższe zasady ekonomiczne oddawna już były stosowane i w epokach dawniejszych. Zawsze istniał podział pracy: istniały np. cechy rzemieślnicze, do których każdy zmuszony był się uciekać. Ta tylko zachodzi różnica, że dawniej uważano podział pracy za złe konieczne i starano się go, o ile można, redukować do tych gałęzi produkcji, które wymagały znacznych zasobów osobnego uzdolnienia i bardziej złożonych narzędzi; gdy tymczasem obecnie widzimy dążność do rozszczepiania pracy na najrozmaitsze jej odnogi i uznanie wypływających ztąd korzyści. I dla tego liczba zawodów t. j. rodzajów zajęcia, wybranych przez jednostki, jako główny i wyłączny sposób zarabkowania, wzrasta w czasach naszych niezmiernie, a większość ich powstaje właśnie przez wydzielanie z domowego gospodarstwa rozmaitych wytworów.

Zawody te w czasach dawniejszych istniały tylko częściowo i to zaledwie w związku. Dopiero wiek bieżący je pomnożył i rozwinął. Zamiast poprzednich, własnym dworem odbywanych podróży, mamy poczty, dyliżansy, koleje żelazne, a po miastach omnibusy i powozy publiczne, nadto towarzysztwa przewozowe, ekspedycje towarów i t. p. Domowych „umysłnych“ zastępują poczty listowe, telegrafy i biura posłańców publicznych; restauracje i bufety uwalniają od wożenia z sobą zapasów żywności w czasie podróży, a dla wielu zastępują stale domową kuchnię. Szkoły publiczne i inne zakłady wychowawcze zgromadzają młodzież od najwcześniejszych nawet lat, zmniejszając z każdym dniem zakres domowego wychowania i nauczania. Powstają dalej pralnie, przedsiębiorstwa reparacji i czyszczenia ubrania, wynajmu mebli, sprzedaży zużytych przedmiotów i t. p.

Nie trudno wykazać, że dwa te odmienne kierunki gospodarcze są logicznym wynikiem odmiennego ustroju społecznego, że zależą od natury i rozwoju pojęć ekonomicznych w społeczeństwie. Dawna zasada, dążąca do skupienia w domu różnorodnych zajęć, odpowiadała w zupełności średniowiecznemu ustrojowi, w którym idee ekonomiczne ulegały przewadze innych. Składały się na to różnorodne przyczyny, naprzód zaś odrębne stanowisko klas uprzywilejowanych, które dostarczały siłę ruchu całemu społeczeństwu i do których interesu kierunek ekonomiczny zarówno jak i każdy inny naginać się musiał. Pojęcia klas uprzywilejowanych o swem znaczeniu i potrzeby utrzymania go były wyższe po nad obliczenia materialnych zysków i strat, stanowiących

podstawę czysto ekonomicznego kierunku. Godność zaś wysoko urodzonego przedstawiciela klasy uprzywilejowanej nie pasowała do demokratycznego charakteru urządzeń publicznych, gdzie każdemu dostęp jest wolny, gdzie każdy za swoje pieniądze jest panem. Zamykać się więc w domu, o ile można, stawało się dlań koniecznością; wtedy tylko był pewny, że nie będzie zmuszony bratać się z dorobkiewiczem, że z byle kim nie siądzie przy jednym stole, że wreszcie jego zachcenia i kaprysy natychmiast i wedle jego gustu zaspokojone zostaną. Dziś np. przy wspólnych podróżach kolejami żelaznymi zarówno dostojnik jak i biedak pilnować się muszą godziny, słuchać dzwonka i świstawki, szanować prawa każdego, który bilet wykupił; podczas gdy w dawniejszych podróżach, swoim dworem odbywanych, pan wiedział, że zawsze jest panem, że tylko jego wola o kierunku i czasie pochodu stanowić może.

Lecz obok tej były i inne przyczyny. Stosunki poddańcze dostarczały bez pieniędzy robotnika, którego siłę i wartości cenić nie umiano. W skutek tego wszelkie prace, wykonane w domu swojemi siłami robotczemi, przychodziły prawie darmo, a zatem taniej od tego, co choć małą sumą trzeba było opłacić. Z drugiej strony brak dogodnych środków komunikacji tamował handel, zwłaszcza płodów surowych, trzymając cenę ich na niskim poziomie. Trzeba je zatem było obracać na potrzeby domowe, na utrzymanie całych zastępów sług, stad zwierząt domowych, co znów zmuszało do wytworzenia dla nich jakiegokolwiek zajęcia. Słowem, pominąwszy już nawet względy polityczno-społeczne, klasie uprzywilejowanej rzeczywiście taniej i lepiej wypadało wszystkie, o ile się to dało, potrzeby zaspakajać w domu. Inne warstwy w zbyt niekorzystnych były warunkach, ażeby mogły wstąpić na inną, samodzielną drogę rozwoju gospodarczego. Oddziaływały na nie przedewszystkiem też same czynniki ekonomiczne, t. j. taniość robotnika i surowych płodów wobec rozwiniętego przemysłu krajowego, z drugiej zaś strony cały nastrój, jak już wspomniałem, szedł z góry, teorye wyrabiały się w klasie wyższej, a do niższych przechodziły już gotowe, choćby nawet grunt dla nich nie był tam zupełnie odpowiedni.

(Dokończenie nastąpi).

Karol Dunin.

Badania dziejowe.

SZKICE HISTORYCZNE D-ra KUBALI.

(Lwów, 1880 r. 8-ka, serya pierwsza, wydanie drugie str. 332; serya druga str. 323).

Książki historyczne znajdują u nas czytelników niewiele dla tego, że są niedostrojone do poziomu umysłowego ogółu pod względem treści i formy. Treść tak licznych dzisiaj monografij historycznych, jako bardzo specjalna, słabo obznajmionych z całością dziejów nęcić nie może; nie nęci ich ona tém bardziej, że jest ujęta w formę niedbałą a twardą, dla fachowców nawet ciężką niekiedy i przykrą. Przez umiejętny wybór tematów i przez nadob-

ność języka Szajnocha poczytność zyskał szeroką; posiedli ją w części Bobrzyński i Szujski, a także naśladowcy Szajnochy: Kantecki, Kalicki i dr. Kubala, którego świeżo ogłoszone we Lwowie szkice historyczne zajęcie budzą duże i szczere. Popularność wspomnianych pisarzy przynosi dowód, że społeczeństwo nasze chętnie szuka wiedzy historycznej w dziełach fachowych, lecz pisanych przystępnie i gładko.

W ponętną właśnie ujęte formę dwutomowe dzieło p. Kubali zawiera szkiców dwanaście. W seryi pierwszej mieści się: 1) króliewicz Jan Kazimierz, 2) oblężenie Lwowa w r. 1648, 3) oblężenie Zbaraża i pokój pod Zborowem, 4) poselstwo Puszkina w Polsce w r. 1650, 5) bitwa pod Beresteczkiem i 6) Kostka—Napierski; w seryi drugiej: 1) proces Radziejowskiego, 2) pierwsze *liberum veto*, 3) krwawe swaty, 4) czarna śmierć, 5) wyprawa żwaniicka i 6) mieszczanin polski w XVII wieku. Z wyjątkiem dwóch pierwszych, wszystkie artykuły dotyczą panowania ostatniego z rodziny Wazów; przedstawiają zaś momenty bliskie sobie odnośnie do czasu, bo wzięte z sześciolecia pomiędzy r. 1648 i 1654, i pokrewne w swej treści, bo przeważnie malujące zapasy z Chmielnickim.

Pomimo pokrewieństwa wypadków i ich chronologicznej bliskości, autor utrzymania pomiędzy nimi związku organicznego zaniedbał: moment każdy traktuje jako epizod odrębny i nawet do złączenia tak łatwe, jak Zborów i Beresteczko, Batoń i Żwaniec, przedziela faktami natury innej, jak „poselstwo Puszkina“ lub „czarna śmierć“, a to tylko dla tego, że się pierwsze odbyło w r. 1650, a więc przed bitwą berestecką, a ów mór straszny poprzedził potrzebę pod Żwaniec. Podobny chronologiczny pedantyzm, psujący organiczny związek pomiędzy najbliższymi faktami, całości szkiców szkodę wyrządza znaczną. Czyżby nielepiej było „poselstwo Puszkina“, „proces Radziejowskiego“, „pierwsze *liberum veto*“, „czarna śmierć“ wreszcie umieścić na początku lub końcu, a wojny z Chmielnickim w bezpośrednim ustawić związku? Niewątpliwie, że nieobznajmiony z dziejami czytelnik z pożytkiem odczyta o oblężeniu Zbaraża i pokoju zborowskim; lecz czy potrafi fakt ten połączyć z bitwą pod Beresteczkiem, a tę ostatnią z batalią pod Batońem i Żwaniec, skoro je autor innymi obrazkami przegrodził? Inaczej to robił Szajnocha, gdy Bolesława Chrobrego z odrodzeniem się Polski za Władysława Łokietka umiejętnie szeregiem drobniejszych połączył szkiców, żeby dwa wielkie momenta nie stały luźnie. Dla tego też z owych dwóch szkiców Szajnochy poznać można wszystkie dzieje Polski do XIV wieku, kiedy tymczasem z dwóch tomów p. Kubali nikt nietylko o całości panowania Jana Kazimierza, ale nawet o jednym wielkim fakcie — o przebiegu sprawy kosańskiej nie nabierze pojęcia.

Jeżeli z samego zestawienia szkiców wnioskować łatwo o niepochoptości autora do organicznego traktowania historii, — to z drugiej strony natura pojedynczych artykułów zdradza wyraźnie naukowe upodobania dra Kubali i jego pojęcie o dziejach. Gdyby się autor zabrał do kreślenia

kształtu przeszłości, przedstawiłby niewątpliwie historię wojen z okrasą dworskich i dyplomatycznych zatargów, a z pominięciem spraw innych. Z dwunastu artykułów przeważną liczbę poświęcił bitwom i bitwom, które same przez się nie dowodzą niczego i po które nauka zbyt łakomie nie sięga. Wszystkie zaś owe, z upodobaniem takim kreślone wojny, przed ogłoszeniem dzieła dra Kubali dla obznajmionych z literaturą historyczną XVII stulecia tajemnicą nie były; owszem z dokładnymi szczegółami wiedzano dobrze o oblężeniu Lwowa i Zbaraża, o potrzebie zborowskiej, beresteckiej i innych; a „krwawe swaty“ opowiedziane nawet już były przez Szajnochę w szkicu p. t. „Domna Rozanda.“ Licznymi przypiskami stara się autor pracom swoim nadać charakter naukowo-źródłowy: my też źródłowości dra Kubali kwestyonować nie chcemy; przyznajemy owszem najchętniej, że w znacznej części z pierwszej ręki, nawet z rękopisów czerpał materiał; ale pomimo tego naukowej wartości tych szkiców nie możemy przeceniać. Z wyjątkiem drobnych szczegółów podał nam autor rzeczy znane oddawna — odkrycia przeto żadnego nie zrobił; zresztą w jakiż sposób uwydatnić naukowość w opisach batalii? Nieuczony kronikarz opíše je tak samo, jak doktor filozofii; rzecz to talentu, nie nauki.

Czytając opisy bitew kilku, żal nam było, że dr. Kubala pióra swojego nie poświęcił sprawom ważniejszym; czytając znowu artykuły treści niebatalijnej, żal nas ogarnął, że autor w miejscu niektórych nie pomieścił batalii. „Poselstwo Puszkina“, lubo bardzo charakterystyczne i nader ciekawe, widoków nowych nie odsłania nam wcale; „Kostka—Napierski“ i po odczytaniu szkicu p. Kubali zagadką będzie dopóty, dopóki bogatsze źródła na tę osobistość rzęsiściego światła nie rzucą; a „proces Radziejowskiego“, chociaż tu i owdzie nowy przedstawia szczegół, jednakże naukowym wymaganiom zadość nie czyni. Charakteru bohatera autor jasno nie ujął i nie określił jego dążeń. Z pod pióra dra Kubali wypłynął demon, lubujący się złem dla zła, bez przewodniczego celu i wyraźnych widoków. Powiada autor (II, 26), że Radziejowskiego chciało koniecznie, jako niebezpiecznego, z podkanclerstwa usunąć, a dać mu kasztelanję krakowską lub zagraniczne poselstwo...; „nie przyjął, chciał buławy wielkiej po Mikołaju Potockim, zapewne aby mieć wojsko na rozkazy i złożyć konfederację...“ Tylko *zapewne*, a mybyśmy wiedzieć chcieli *naprawdę*. „Król, jak i jego faworyci, szukali *sposobów*, aby się pozbyć w jakikolwiek bądź *sposób* tego niebezpiecznego i zniechęconego człowieka“ (II, 29); lecz zawsze nie wiemy, dla czego niebezpiecznego i zniechęconego, albowiem autor ani udziału Radziejowskiego w klęsce pilawieckiej, podczas której na chorągwiach swoich wypisał miał: *fugite!*, ani wpływu na rejteradę szlachciców z pod Beresteczka, ani prawdziwego stosunku do dworu wyjaśnić nie umiał. Król Jan Kazimierz w innym szkicu „przekraczał prawa, trwonął grosz publiczny, sprzedawał urzędy niegodnym i narażał lekkomyślnie przyszłość całego kraju“ (II, 73); a tymczasem w procesie Radziejowskiego nie

jest winien; robi wrażenie smutnej ofiary, gdy podkanclerzy — łotra bez granic.

Brak naukowej przezorności w traktowaniu przedmiotu zdradza również artykuł p. t. „pierwsze *liberum veto*“. I tu obznajmiony z dziejami nie nowego nie znajdzie; o Sicińskim wiemy tyle, co dawniej, tyleż o sejmie z r. 1652, nie dowiadujemy się nawet, za czym wpływem został zerwany; na ogólne zaś uwagi autora o sejmowaniu i o naturze *liberum veto* zgodzić się trudno. „Nie należy, powiada, mniemać, aby protestacya pojedynczego posła mogła być rwać sejmy w Polsce. Takie mniemanie podaje w pogardę przeszłość naszą. Przodkowie nasi w XVII wieku nie byli pozbawieni rozumu, aby dobro całej ojczyzny robili zależnem od zachcenia jednego ładajakiego człowieka. Słowo „nie pozwalam“ w ustach pojedynczego posła nie miało żadnego znaczenia, jeśli po za nim nie stała liczna frakcyja, która protest uznała. *Veto* było wyrazem mniejszości, a poseł, który to słowo wymawiał, wypełniał przyjętą formalność...“ (II, 117). Zdaje się, że dla udowodnienia, jako protestacya jednego posła rwać sejmów nie mogła, wystarcza według autora pogroźka, że mniemanie *przeciwnie* „podaje w pogardę przeszłość naszą“ i rzuca kalumnię na przodków... Lubo narażamy dobrą dotychczas sławę, jednakże wbrew autorowi śmiemy mniemać *przeciwnie*. Prawdą jest, że faktycznie za osobnikiem stawała frakcyja; lecz błędem jest twierdzić, jakoby słowo „nie pozwalam“ w ustach pojedynczego posła nie miało znaczenia żadnego i jakoby wymawiający to słowo spełniał tylko formalność. *Prawnie* nawet „ładajaki człowiek“ mógł zerwać obrady; a więc pojedynczy poseł mógł bardzo znaczną odegrać rolę i rozum przodków z XVII stulecia zawsze podać w wątpliwość. „Niesłusznem także jest twierdzenie, dodaje autor, jakoby *veto* nie miało prawnej podstawy“ (II, 118). Twierdzeniem takim dr. Kubala zbija ogłoszone poprzednio i sam ojców zohydza; a zresztą, o ile wiemy, nikt z uczonych nie powątpiewał o prawności *liberum veto*; tylko genezę jego inaczej objaśniano, niż autor. „Nie należy zapominać, powiada dr. Kubala, że w wolnych państwach zwyczaj jest większem prawem, niż samo prawo, chociaż się opiera (zwyczaj, czy prawo?) tylko na domniemanem zezwoleniu tych, do których prawa stanowiąć i znosić należy. *Veto* było zrosnięte z istotą konstytucyi rzeczypospolitej, było naturalnem następstwem prastarego zwyczaju dawania instrukcyi posłom i niepodobna go było wyrwać bez naruszenia fundamentalnych praw rzeczypospolitej“ (II, 118). Z powyższego ustępu domysleć się trudno, czy się *liberum veto* opierało na „domniemanem zezwoleniu tych, do których prawa stanowiąć i znosić należy“; czy też „było naturalnem następstwem prastarego zwyczaju dawania instrukcyi posłom.“ Nam się wydaje, że nie wpływało ono ani z domniemanego przyzwolenia prawodawców, ani z instrukcyi, lecz z federacyjnej budowy rzeczypospolitej, w myśl której na sejmie radomskim z r. 1505 w artykule *de non faciendis constitutionibus sine consensu Consiliariorum et Nuntiorum terrestrium* powiedziano: *nihil novi constitui debeat per*

Nos et successores nostros sine commun Consiliarium et Nuntiorum terrestrium consensu. Dr. Kubala jednomyslnosc w obradach wiaz ma za zwyczaj i dopiero konstytucya z r. 1609 zabezpiecza ja szlachcie; tymczasem wzmiankowana ustawa powtarza tylko o wiek rychlejsza radomska, na ktora na sejmach i w pismach przodkowie nasi powolywali sie zawsze. Wedlug rozumienia ojcow poseł reprezentował nie państwo, lecz województwo, ziemie lub powiat i, jako przedstawiciel cząstki, zamkniętej w sobie i posiadającej cechy oddzielnego, na prawach federacji złączonego z caloscią państewka, z głosem swoim w cizbie kolegów niknąć nie mógł, albowiem w razie przeciwnym utraciłby właściwy sobie charakter. Dla tego też ustawa 3 Maja znosiła jednomyslnosc przez modyfikacyę budowy rzeczypospolitej i orzeczenie, że posłowie „uważani być mają jako reprezentanci całego narodu“ (art. VI). Instrukcyje, jak chce dr. Kubala, źródłem jednomyslnosci nie były: wszakże ustawa majowa zaprowadziła obradowanie przez większość, a instrukcyj poselskich bynajmniej nie zniosła.

Z pozostałych szkiców „czarna śmierć“ jest mozaiką bardzo staranną i w szczegóły obfitą; a „króliewicz Jan Kazimierz“, odmalowany pod względem psychologicznym udatnie, niewątpliwie jeden z najlepszych artykułów w księgach p. Kubali stanowi. Autor umiejętnie analizuje charakter bohatera, zaznacza kontrasty, przerzuca go z jednej ostateczności w drugą i akcentuje tę dziwną wrażliwość, przy której Jan Kazimierz tak łatwo z duchowego ospalstwa i ascetyzmu przechodził do orgij, z cynizmu do podniosłych porywów. Śmiejemy tylko zarzucić autorowi zbyt pesymistyczne traktowanie ostatniego z rodzi Wazów i nielitościwe obciążanie go zarzutami bez uwzględnienia stron światłych okoliczności, wśród których siedział na tronie. Może i dodatnia działalność Jana Kazimierza była również kaprysem tylko i ekscentrycznym wyskokiem; jednakże zaprzeczyć jej trudno. Bitwa berestecka, nowa tronowa z r. 1661 i abdykacyjna rzucają dużo sympatycznego światła na postać człowieka, którego łatwo zarzucić cieniem, gdy wśród burz samych panował i zbierał trujące tylko owoce posiewu ludzi i czasów poprzednich.

Największą przywiązujemy wagę do ostatniego ze szkiców, p. t. „Mieszczanin polski w XVII w.“ chociaż to tylko materiał z *crudo*, wyjęty z książki sklepowej Jana Markowicza, kupca korzennego w Krakowie. Do charakterystyki mieszczanina rzucony materiał rysów podaje sporo i dziwnie sympatycznie rzuca światło na grupę społeczną, dla której pisma szlacheckie mają tylko lekceważenie i wyniosłą pogardę. Ten Jan Markowicz jest człkiem mędrym i moralniejszym, niż owocześni butni szlachci; przez zamilowanie porządku pracy o głowę przewyższa chełpliwych armazynów, na barkach których ciążyły sy całego państwa.

Pod względem formy dr. Kubala od zarztu jest wolny. Język ma silny, obrazowanie wspaniałe, dobór kontrastów szczególny wielce. W opisach bitew czujemy zapach prochu i lejącą się krew ciepłą; sły-

szymy szcęk szabel, huk armat, pokrzyki tryumfu i jęki. W walkach osobisty bierzemy udział; z walecznymi idziemy do szturm, uciekamy z tchorzami. Dr. Kubala jest historykiem batalijnym i jako taki uczytającej publiczności względy ma pewne. Mamy przecież nadzieję, że się szanowny autor nie ograniczy na podobnem uznaniu i żadnych dobrej lektury obdarzy pracą o skali głębszej i szerszej. Przy takim popularyzacyjnym talencie łatwo przyjdzie p. Kubali ogarnąć przedmiot bogatszy i stworzyć dzieło, które nietylko wzruszać i bawić, lecz i rzetelnie nauczyć potrafi.

Wł. Smoleński.

Z PRZESZŁOŚCI.

Fragmenty dramatyczne M. Konopnickiej, Wilno 1881 r.

Pierwsze moje do *Prawdy* pisanie układa mi się w sposób taki, w jaki poeci i wierszopisarze dawniejsi rozpoczynali epopeje. Mam ochotę do muzy się zwrócić i prosić ją o natchnienie dla prozy mojej. Powód płynie stąd, że za przedmiot dzisiejszego pisania wziąłem sobie panią Maryę Konopnicką. W „Wydawnictwach E. Orzeszkowej i S-ki“ znalazłem *Z przeszłości* — *Fragmenty dramatyczne*, podpisane imieniem tej poetki, która, uderzając od czasu do czasu w struny harfy, na ton iscie poetyczny nastrojonej, utrzymuje ciągłość poetyczną w narodzie naszym. Zdawało się, że — oto urwało się już — że wielcy poeci nasi zeszli do grobu bezdzietnie. Pokazało się, że — nie. Pozostała po nich dziewczynka malusia; ta się odhodowała, wyrosła i... „siedzi na harfie grająca.“ Wziąwszy na uwagę to, że oprócz niej jest jeszcze Ely, zdanie, że epoka owa, którą „romantyczną nazwano, w przepaść się zapadła, okazuje się wyrokiem zanadto pospiesznym. Nie! — nie zapadła się ona w przepaść do tego stopnia, ażeby nie było ciągu dalszego, który — rzecz prosta i naturalna — nie jest tem samem, jest atoli poetycznością, wynikającą bezpośrednio z tej, co ją poprzedziła.

Wymagać nie można, ażeby się snuło wciąż jedno i to samo, to jest, ażeby po Mickiewcu nastał Mickiewicz drugi, Słowackiego zastąpił także sam Słowacki, Krasińskiego — Krasiński. Sprzeciwił się to naturze rzeczy. Nastąpić musiała w poetyczności zmiana, odpowiadająca nastrojowi chwili. Za czasów Mickiewicza przeważał idealizm, albo raczej wiara w nadnaturalność, wiara w potęgę pewne tajemnicze, dzierżące w rękach swoich losy świata. Wiara owa była w epoce tej nastrojem ogólnym, przebijającym się we wszystkim i na wszystkim odciskającym cechę swoją. Poezya odwracać się od niej nie mogła, tem bardziej, że zagadkowość, tajemniczość jej nadawała się do wieszczzenia, rozbudzającego wyobraźnię, trzymała ją w natchnieniu. Poeta a wieszcz były to jednoznaczniki. Zkąd poezya zyskiwała na wadze i powadze — stawała się rodzajem wyroczni, oddziaływającej tem silniej, że tłumaczami jej były geniusze. Zachodziło przeto we względzie tym nieporozumienie. Odnosiło się ono do istoty poezyi, branej za coś innego, odmiennego, aniżeli za jedną z form, pod którymi objawia się wrodzone ludziom poczucie piękna. Brano ją za dar wieszczenia, związany ściśle z wiara — z wiary płynący. Wynikało stąd, że jakoby bez wiary — i to wiary ściśle określonej a do najwyższego stopnia podniesionej — poezya istnieć nie może. Przesadę przeto, jaka w poetycznej twórczości nastąpiła, tłumaczono sobie osłabieniem wiary, sprowadzonym przez naukę.

Tłumaczenie mylnie najzupełniej. Przypuszczając bowiem, że poezya wiary wymaga, to nie koniecznie wiary takiej, a nie innej. Bez wiary obejść się ludzie nie mogą, nie będąc w stanie zastąpić jej wszędzie przekonaniem. Weźmy pierwszą lepszą prawdę naukową — prawdę najpospolitszą, tę na przykład, że ziemia krąży około słońca. I tu pomiędzy nami o tej prawdzie jest przekonanych? Czy ogromna, czy olbrzymia większość w ludzkości nie wyznaje jej na wiarę? Fakt, uznany przez powagi, przechodzi do ogółu i ogół wierzy. Faktów tego rodzaju jest mnóstwo; każda wiedzy ludzkiej gałąź może w tym względzie posłużyć jako przykład. Uczeń specjalistki badają, odkrywają, dochodzą do rezultatów, doświadczają licznymi stwierdzone i rezultaty owe podają do wierzenia ogółowi. Ogół nie bada, nie odkrywa, nie dochodzi, nie stwierdza — wierzy. Wiara ta nie jest od wszelkiej innej gorsza, a jeżeli wiara służyć ma jako materiał poetyczności, to i ta posiada warunki, potrzebne do wywoływania uniesień i natchnień. Psalmista wierzył w potęgę Jehowy; Homer wierzył w interwencyje bogów i bogiń Olimpu; nowoczesny poeta wierzy w potęgę nauki, wiedzy, postępu i w tej czerpie natchnienia, powinowate temu, które przyswiewcał psalmiście i Homerowi. Warunki natchnieniowe i ta wiara posiada.

Działanie tych ostatnich postrzegać się daje wyraźnie na utworach pani Marji Konopnickiej, ogłoszonych przez spółkę wydawniczą pani E. Orzeszkowej, których winszujemy tak spółce, jak autorce, jak sobie. Trzy te fragmenty dramatyczne — „Hypatya“, „Vesalius“ i „Galileusz“ dają świadectwo o ciągłości poetycznej w łonie społeczeństwa naszego. Forma przesliczna, treść zastosowana do nastroju chwili — nastroju, który zresztą nieobcym był i wielkim nieboszczykom naszym. Mickiewicza „Toasty“, Słowackiego: „I przed narodem nieście oświaty kaganiec“ są niejako wyzwaniem owego nastroju — wywołaniem go w szranki. Zdaje się, jakby przeczuwali oni, że poematyzowane i dramatyzowane przez nich przedmioty ustąpić muszą miejsce innym równie poetycznym, równie dramatycznym, równie podniosłym i równie służyć mogącym jako motyw natchnień dla umysłów, obdarzonych uzdolnieniem odczuwania piękna, zakłętę w walce życiowej. Bo w czemże walcu? „Konradowi Wallenrodowi“, „Ojcu zadżumionych“, „Janowi Bielekiemu“ etc., ustępują walczący: Hypatya, Vesalius, Galileusz? — W czem — pytam — ustępują ci tanim? Walcznikami są jak jedni, tak drudzy: tamci o prawdę uczucia, ci o prawdę wiedzy. Jak długo uczucie szło przodem, ci ostatni powstawali najprzód w cieniu, następnie w półcieniu. Obecnie, dzięki temu, że nauka wyzwoliła się na koniec, stanęli na świeczniku — męczennicy! — otoczeni pięknem poświęcenia i grozą przeciwności, przez które przebijac się musieli, wywalczając dla prawdy naukowej uznanie, odmawiane jej tak długo i tak uparcie przez pychę niewiedzy. Wyobrazić sobie nie sposób nie wznieślijszego, nie szczytniejszego, nie tragiczniejszego! Dodać należy jeszcze i to, że wzniosłość owa, szczytność i tragiczność jest rzeczywistą, nie zaś żadną urojoną — żadną taką, jaką, na przykład, podszywa bohaterów niektórych Byrona.

Tempora mutantur. Czy dawne to czasy, jak Goethe pisał Fausta? Goethe wziął treść z dziedziny walki światła z ciemnotą, ale wziął ją wedle nastroju, jaki panował za czasów jego. Faust jest samolubem; wiedza idzie z szatana; promienie piękna spływają całkowicie na postać prostej, miewskiej dziewczeczki, umiejającej jeno śpiewać przy kołowrotku, kochać i wierzyć na ślepo.

Porównajmyż piękność postaci Małgorzaty z pięknoscia postaci Hypaty, przedstawionej tak, jak przedstawiła ją pani

Marya Konopnicka. Po której stronie przewaga? Mówię o przedmiocie piękna, nie zaś o wykonaniu, nie o artyzmie; porównywał Goethego z panią Konopnicką, ale Małgorzatę z Hypatyą. Nie jest-że po stać tej ostatniej o niebo całe tragiczniejszą od tamtej? Może się taką ona wydaje i—cieszę się nią, bardzo cieszę, niby skarbem na drodze znalezionym. Cieszę się nią z tego powodu, że, wbrew twierdzeniom mężów poważnych, pojawienie się jej jest świadectwem i dowodem, że poezja nie wygasła.

A tak na pogrzeb jej dzwoniło głośno! Przekonywano, że zabija ją pozytywizm. Jeden z estetyków pół-naszych a pół-nienaszych dowodził, lat temu bodaj czy nie dziesięć, że u nas poczucie estetyczne, wysiliwszy się na wydanie trzech gieniuszów od razu, nie jest już w stanie pod żadną przejąć się formą. Chodziło o malarzy szczególnie. Tymczasem—i malarstwo rozwinęło się na podziw—i poezja wystąpiła w ciągu dalszym, w postaci odpowiedniej nastrojowi czasu.

Co się tyczy wykonania *Fragmentów Dramatycznych*, którym i nas pani M. K. obdarzyła, o tem rozpisywać się nie będę. Czytałem je i odczytywałem, nie jako krytyk, ale jako część publicznosci czytającej, kierującej się wrażeniami i — wyznam otwarcie—od dawna nie zaznałem zachwytu takiego, jakie mi one sprawiły. Prześliczne są pod względem języka i formy i akcyi nawet. Mozeby we fragmencie pierwszym postać Amoniusza zyskała, gdyby bardziej uwydatniona była. Ale krytykować nie chcę—nie mogę. Z punktu krytyki odważyć się jedną jeno poetce skromną uczynić uwagę. Niechby się ona tego trzymała nastroju, który jej Hypatyę, Vesaliusza i Galileusza podyktował. Zdarzyło się mi spotykać ją tu, tam i owdzie przy innym, rozważniającą się w tem, co francuzi nazywają: „verbiage“. Harfa jej jest nie do wody, ale do ognia—nie do kwilenia, ale do odzywania się głosem pełnym, silnym i śmiałym *).

T. T. Jeź.

PIŚMIENICTWO POLSKIE.

Encyklopedia Wychowawcza pod redakcją, J. T. Lubomirskiego, E. Stawiskiego, S. Przystrąskiego, i J. P. Plebańskiego. Warszawa 1880 roku.

Publikacja ta, której wydane zeszyty (1, 2, 3, 4 i 5) prawdopodobnie, w stosunku do przewidywanych rozmiarów, zaledwie małą stanowią część, ze wszech miar zasługuje na to, aby krytyka czynna zwróciła oko na jej program i ducha zapowiadającego w ogłoszonych uprzednio „objaśnieniach“—a co ważniejsza jeszcze, aby z powagą i wielostronnym taktem oceniała i kontrolowała kolejno dalsze jej kroki. Taką postawę nakazuje tu krytyce niesłychana

ważność podjętego zadania. Jej przedmiotem jest *wychowanie* t. j. najszczytniejsza, najspołeczniejsza spraw ludzkich. Wszak wychowanie, to organ i rękojmia obiektywnej nieśmiertelności jednostek, a postępu i szczęśliwości ogółu. W niniejszym, wstępnym przelądzie, z naturalnego położenia rzeczy, pomówić winniśmy głównie o kwestyi *zasad*, o duchowym hasle, którego *Encyklopedia* trzymać się zamierza; będzie to, zdaniem naszym, i najistotniejszy dowód zainteresowania się publikacją, i najwymowniejsze świadectwo literackiego i obywatelskiego współczucia ku podjętej przez nią sprawie. Następnie powiemy słów kilka o planie i ogólnem uorganizowaniu materiału.

W „objaśnieniach“ (strona IX) redakcyja zapowiada, iż uznaje potrzebę „zostawienia dość szerokiego pola dla poglądów i przekonań osobistych, niekępowania indywidualności piszącego ciasnymi węzłami“. Nic słusniejszego. Czy jednak redakcyja nie zapowiada tu więcej, aniżeli spełnić by mogła, nie naruszając harmonii z pewnemi, iż tak powiem, nad-zasadami, od których widocznie odstąpić nie czuje się w prawie, nie może? Czy tak poręczona autorem samodzielności nie zakrawa na ową swobodę, którą Wiktor Hugo włożył niegdyś w usta Przywłaszczyciela: „masz wolność mówienia, ale z warunkiem, że będziesz milczał“? Jeżeli jakieś nowe, odświeżające czynniki—już z zasady powszechnych praw rozwoju—przenikają, bo przenikać muszą, we wszystkie działy pracy społecznej, czyż podobna, aby tylko nie wsiąkały do sfery wychowania? Sądźmy więc, że właściwiej było szczerze, jasno, w rysach jak najściślejszych wypowiedzieć podstawowe punkta widzenia, uznane przez redakcyję za nietykalne, a ludziom nowych prądów podszepnąć Dantowskie „*voi che v'entrare...*“

Po tej uwadze stresmy wrażenia, jakie na nas sprawiły pierwsze zeszyty. Jakkolwiek w większej części są artykuły historyczne, wszakże dają już one pewne wskazówki o metodzie, treści, podziale, granicach przedmiotu, prztem i sam spis zapowiedzianych artykułów poniekąd te wskazówki dopełnia.

Ze w zapowiedzianym spisie dosyć znacznej liczby przedmiotów brakuje, na to nie kładziemy nacisku, w przekonaniu, że szereg ten uleść może zmianom, czy w ciągu kolejności alfabetycznej, czy w dodatkach późniejszych, jakkolwiek radziłybyśmy spotkać się tu np. z Beneke'm, z Bainem. Więcej aniżeli brak, daje nam do myślenia pewnego rodzaju nadmiar zapowiedzianych tytułów, i to zarówno rzeczowych, jak osobowych. Wprawdzie nie nie mamy do zarzucenia wprowadzeniu przedmiotów, odnoszących się do wyższych, ściśle naukowych dziedzin wykształcenia (filozofia, astronomia, matematyka wyższa i t. p.); ale np. języki aryjskie a tem bardziej semickie zdają się nam zbyt daleko wysuniętą specjalnością. Widocznie uwiedziono się powagą przedmiotów, i dla tej powagi nie śmiało odmówić im miejsca. I niezawodnie wielkich potrzeba będzie wysiłków ze strony autora takich np. artykułów jak: „kwietyzm, sceptycyzm i prawo natury“ aby za pomocą jedynie taktyki metodologicznej usprawiedliwić ich wejście do *Encyklopedyi Wychowawczej*.

Skoro—jak jest do przewidzenia—publikacja ta nie cofnie się przed rozmiarami, które prawdopodobnie może przyjdzie jeszcze rozszerzyć, czy nie lepiej będzie, usuwając część balastu zbitecznego, tak osobowego, jak rzeczowego, jeszcze bardziej wzmocnić żywioł *etyczny*, zapuścić badawcze oko nie tylko w rodzajowe, ale i gatunkowe działy tej dziedziny? W poważnym poczcie osób, powołanych do współpracy w *Enc. Wych.*, zapewne nikt się nie znajdzie taki, któryby wątpił, że szkoła, a szczególnież też niższa i średnia, jest nie tylko zakładem naukowym, ale prztem—

bodaj czy nie głównie: wychowawczym; że ona stanowi pewne, dłuższym promieniem nakreślone pole uprawy moralnej. A znowu najpobieżniejszy nawet rzut oka wystarczy na przeświadczenie się, jak to daleko obecna chwila odbiegła pod tym względem od normy. Obojętność, z jaką dzisiejszy pedagog uprzywilejowany patrzy na usuwanie ze szkoły najpiękniejszego czynnika, który powinien by rozpoczynać i oświecać cały program nauk szkolnych, obojętność ta, doprawdy, przechodzi wszelkie granice. Nawet nauczyciel domowy, nie stanowi tu wyjątku; nawet powierzający mu dzieci swoje ojciec — ten minister pomiędzy czterema ścianami u siebie,—jedną, godzinę, półgodzinę, poświęconą na zajęcie się sercem chłopięcia ze strony guwernera, uważa za zmarnowanie czasu i gotów za nią potracić przy rachunku miesięcznym. Łatwo przewidzieć z góry, czem na to odpowie ten i ów z pedagogów, ba i nie jeden z ojców lub opiekunów. Oto pokaze rejestrzyk następujący: nauka religii, język a, język b, język c, d, f, g, i, t, d. ćwiczenie a, ćwiczenie b, i t. d. — pierwiastki kwadratowe, sześciennie, greckie i t. d. — a prztem wszystkiem „cele formalne“ — *copia verborum* i tam dalej, dalej. Jak gdyby to nawet pomiędzy liniami heksametrów *Eneidy* nie dało się podnieść hasło do przebudzenia młodocianej duszy, do trącenia w charakter chłopca i zapytania go: „a czy ty wiesz, dokąd my idziemy po tych spondejach? czy ty wiesz, że zarówno geografia, jak historia, że zarówno logarytm jak i accusativus cum infinitivo—że te wszystkie prawidła i prawidełka, że wiersze i proza, to są tylko rusztowania budownicze, które po ukończeniu gmachu będą uprzątnięte? że to są tylko drogi, które młoda duszę, serce prowadzić mają do umysłowego odkupienia? Jeżeli, jak powiedzieliśmy, nawet wśród samej działalności dydaktycznej co chwila otwiera się pole do umoralnienia, to cóż mówić o stosunkach praktycznych, które już to peryodycznie, już przypadkowo układają się same przez się pomiędzy uczniem a nauczycielem? A paury? a rekreacye? a sprzeczki i nieporozumienia pomiędzy uczniami? Nie są to sytuacje, wyrażnie dopominające się o wyroczny głos przewodnika, domowego lub publicznego? Bez przesady powiedzieć by można, że przy takim biegu rzeczy, czynnik etyczny stanie się podobnym do jednego z owych utajonych naczynek organizmu ludzkiego, które dopiero w chwilach silnego ich bólu poczuwać zaczynamy.

Tak więc radziłybyśmy, aby *Encyklopedia*, nie poprzestając na teoretycznym załatwieniu się z *Etyką* (o której zapowiedź czytamy w spisie p w. *Moralność, Propedentyka*) przeprowadziła cały praktyczny system moralności, w działach i układzie, jaki uzna za stosowny.

Z dawnych programów przekonywamy się, że w średnich zakładach naukowych wykładano, po jednej lub dwie godziny tygodniowo, *naukę obyczajową*. Jakkolwiek przedmiot ten powierzano ludziom *ex officio nefamilijnym*, to jednak, przynajmniej w pewnym stopniu, osiągnano dwa poważne cele: dziecko, a następnie młodzieniec uczniał się i dojrzewał w poczuciu obowiązku i umysł jego wprawiał się stopniowo w odpowiednie wiekowi życia formułowanie pojęć moralnych.

Podobnie rzecz się ma z materiałem osobowym. Nie zdaje nam się stosownem pojmować *Encyklopedyę Wychowawczą*, jako Wallhallę dla bohaterów umysłowości ludzkiej, choćby nawet takich jak Kopernik. Sama wreszcie redakcyja, jak widać ze „spisu wyrazów“, w zasadzie podziela ten pogląd, skoro przy pewnych arcy-poważnych osobistościach zastrzega sobie przedstawienie ich jedynie ze strony pedagogicznej. Tak np. Piotra Skargę, zaleca wyrażnie jako „Rektora akademii Wileńskiej“. Są liczne przedmioty, przedmio-

*) Sąd szanownego naszego korespondenta dopełnimy kilkoma słowy, którymi on swego zachwytu osłabiać nie chciał. Fragmenty p. Konopnickiej są obrazkami dramatycznymi, ale mają podkład czysto wymarzony z bardzo małą domieszką pierwiastków realnych. Skutkiem tego, jeśli nie przedmiot walki, to jej pojedyncze momenta rysują się niewyraźnie. Tak np. sprężyna, która popchnęła tłum chrześcijański do zamordowania Hypaty, nie wyskakuje dostatecznie na wierzch. Uwolniwszy się z pod uroku wiersza, trzeba nieraz powtórzyć z Amoniuszem tego obrazka. „Ach co słów próżnych! co słów!... eicho... eicho!“ Nadto takiej mistrzyni słowa. jak p. Konopnicka, nie przystoi zbyt częste używanie tychże samych barw poetycznych. W wyrażeniach pierwszego fragmentu naliczyliśmy aż cztery *wichry*, cztery *błyskawice*, pięć *burz* i sześć *piorunów* — i w ogólności nadmiar porównań kosmogonicznych. Jak ociosany piaskowiec—mniejsza, ale brylanty szlifować trzeba starannie. A w duszy pani Konopnickiej znajdują się drobne brylanty—np. Galileusz! (Przyp. Red)

ty zapowiedziane w programie, które, choć z pewnym *dla nas* żalem, radzilibyśmy jednak redakcyi pominąć a to w imię własnych jej zasad. W przedmiotach bowiem tego rodzaju, jak *pozytywizm* (który tu ma być opracowanym p. w. Comte), *naturalizm*; trudno będzie zrachować czysto - obiektywne, a znowu najmniejsze wystąpienie z przeciwn - zasadami sprowadziłoby *Encyklopedię* na jedną z tych dróg, których właśnie w imię swoich zasad unikać by powinna.

Oto pierwsze myśli, jakie nam nasunął przegląd spisu przedmiotów. Wskazawszy pewne w nim braki lub nadmiary, wyznajemy, że w ogóle wzięty wybór przedmiotów, jest tu dobrze zamierzony i że przy odpowiednim opracowaniu może rokować pożytek i kierownikom pokolenia i pokoleniu.

Nieco do myślenia daje nam jeszcze pewien szczegół, dotyczący składu tytułów, a mianowicie, że niektóre działy zdają się zbyt rozdrobnione na części tak, że jeden czyni drugi zbytecznym, a nawet prawie niemożliwym. Tak np. pod działem *Języki* oczekiwaliśmy aż sześć artykułów. Czy takie rozsubtelnianie nie narazi autorów na tę przykrą konieczność, która w pewnych razach nazywa się rozbieraniem wodą? Wolelibyśmy się mylić tym razem. Również spotykamy tu z jednej strony nazwiska pedagogów, jak np. Trentowskiego i t. p., a obok nich *Historję pedagogiki*. Albo więc „historji Pedagogiki“ pozostanie bardzo nie wiele do zrobienia, t. j. krótko narysowany przebieg teorii pedagogicznych — podobniejszy na studyum, aniżeli na artykuł do encyklopedyi, albo bardzo wiele — bo, opracowanie tych wszystkich osobistości, które pominięciem zostały w szeregu osób a pominięciem być nie mogą w całości encyklopedyi.

Pomiędzy artykułami 5 wydanych zeszytów spotykamy utwory rozmaitych, stosunkowo do zadania zbyt wielkich rozmiarów, i rozmaitej wartości. Niektóre z nich są raczej monografiami, i jako takim przyznać należy wagę rzeczywistą (Abecadło, i t. p.).

Co do samego wykładu, radzilibyśmy usilnie, aby ten przy całej poważności naukowej i ścisłym ogarnięciu danej myśli, odznaczał się możliwą przejrzystością; aby w nim, wszędzie czuć było świeżość i tętno współczesne, ruchy swobodne, dalekie od zawilosci i szeregów ciężkiej uczoności. Wszak żyjemy w wieku, kiedy i najpoważniejsza z postaci naukowych, filozofia, wyrusza się już na światło dzienne, otrząsając z siebie to wszystko, co trąci zaduchem i przesadą. Jeżeli zaś rodzaj przedmiotu jest taki, że wymaga już koniecznie wzniesienia się na wysokość katedry szkolnej, niechże autor przynajmniej nie usuwa prowadzących na nią schodów — niech rzeczy odzwierciedlane przeplatane przystępnymi, nie skąpiąc przykładów i udostępniających obrazów.

Oczekujemy przytem trudnej wprawdzie ale w takim piśmie szczególnie ważnej enoty: wstrzemięzliwości pisarskiej, pod którym to względem nie wszystkie z dawnych artykułów wolne są od zarzutu. Czuć tam niekiedy puszczenie pióra samopas, jedynie w tym celu, aby w widocznym braku treści zasypać szpalty rozwlekłą gadaniną lub deklamatorstwem. A w końcu, jeszcze oczekujemy wszędzie prawdziwej, a nigdzie nienakreślanej pedagogiczności tak przedmiotów, jak i ich opracowania.

J. Laskowski.

„Pokociło się“ i „dam nogę“ obrazek z życia dwóch braci przez Elizę Orzeszkową. Wilno 1881.

Blaha ta napozór fraszka jest jednym z najwdzięczniejszych obrazków. Tytuł jej zawiera dwa miejscowe wyrażenia litwina i koroniarza, którzy z tego drobiazgu, krytykując się wzajemnie, wysnuwają spór o wyższość dwu ziem i narodów. Dla je-

dnego wszystko dobre, rozumne i piękne rodzi się na Litwie, dla drugiego — w Koronie. Ponieważ jest to sprzeczka dwu krewnych, nie zaognia się więc zbytecznie i pozwala łatwo żonie litwina zażegnać drobną burzę odczytaniem kilku wierszy z *Pana Tadeusza*. Scena ta jest wspaniała, głęboko wzruszająca, a po wesołym przygotowaniu sprawia tem silniejsze wrażenie. Kartka z nieśmiertelnego poematu naszego wieszcza zamienia się w kapłańskich rekach kobiety w stulę, którą ona wiąże na wspólne i zgodne życie dwu braci.

Nowy zabytek języka polskiego z początku XVI wieku wydany został w Krakowie przez dra Lucyana Malinowskiego. Są to kazania o N. Pannie, przedrukowane z rękopisu, znajdującego się w bibliotece gimnazjalnej w Toruniu, utwór oryginalny *Magistra Jana z Szamotuł*, dekretów (prawa kanonicznego) doktora, zwanego *Paterkiem*, wykładającego r. 1506—7 filozofię w Akademii krakowskiej (+1519). Tekst tego zabytku (str. 118, w 8-ce) poprzedził prof. Malinowski wstępem krytycznym, w którym prostuje także wiadomości dra Kętrzyńskiego, podane przez niego poprzednio (1874 r.) o wieku rękopisu i jego autorze; przy końcu zaś dodał „Słowniczek wyrazów godnych uwagi“ (str. 119—134). Zbyteczna dodawać, że wydanie to, pod kierownictwem prof. Malinowskiego; dokonane zostało z całą znajomością rzeczy i dokładnością, wymagana od podobnego rodzaju wydawnictw. Żałować tylko przychodzi, że szata zewnętrzna książki nie odpowiada ani jej wartości naukowej, ani wielkości pracy podjętej około jej wydania. Druk bardzo drobny i zbity (przy czcionkach nierównych) i papier lichy są ekonomią, której „Komisya językowa Akademii Umiejętności“ nie powinna wcale zaprowadzać przy wydawnictwie *pomników* języka.

K.

LIBERUM VETO.

Akt oskarżenia przeciwko pani Orzeszkowej i Konopnickiej. — Moja obrona i ustępstwo miejsca w sporze Litwy z Polską na korzyść delegata *Gaz. Warszawskiej*. — Różnica zegarów nie jest różnica myśli. — Krzyżackie apostołstwo i kordon prawomyślności. — *Ta-bunnoje swojstwo*. — Autorka *Fragmentów* i autorowie „drobnych różnic.“ — Pocięsenie podsądnych i słówko do galeryi.

Przeczytajmy naprzód akt oskarżenia, na mocy którego pani Eliza Orzeszkowa wraz ze spółnikami pociągnięta została do odpowiedzialności przed sejm prasy warszawskiej. Brzmi ono tak:

Pani Eliza Orzeszkowa, autorka wielu powieści, nieogłędnie pomieszczanych w prasie warszawskiej, ufundowawszy księgarnię w Wilnie, rozpoczęła wydawać dziełka polskie. Zdawało się, że oficyjna jej, widząc zmniejszanie się groza piotrowego i ciężkie kłopoty *Societatis Jesu* w całym świecie, przerznie Litwę kanałami pobożności, któremi przepływać będą *Kolderki pikowane taskami Ducha S-go* i *Młoty na grzeszników świata tego*. Tymczasem pani Eliza Orzeszkowa, zyskawszy podstępnie zaniechanie ogółu, przygotowała dlań truciznę duchową w postaci dwu książeczek: swojej „*Pokociło się*“ i „*dam nogę*“ oraz p. Konopnickiej *Fragmenty dramatyczne*. Dowody przestępstwa w obu dziełkach są tak okropne, że — jak w podobnym wypadku przed dwoma wiekami wyraził się Biskup Andrzej Chryzostom Załuski — *horret animus cogitare, lingua loqui* ¹⁾ i łzami raczej niż szczęśliwością ojczyzny naszej, że takie wy-

dała *monstrum* ²⁾ nad które i sama Afryka straszniejszego *producere* ³⁾ nie może, opłakiwać, niżeli *promere sensum* ⁴⁾ w tej sprawie należałoby, na którą wszystka poruszać się musi natura. *Polonia* — jak rzekł ongi zacny instygator W. Ks. Litewskiego Szymon Kurowicz — *non parit monstra* ⁵⁾. A jednak pani Orzeszkowa jest potworem. Nie będziemy tu powtarzać wszystkiego, co nieszczęsna *ex deliberatione* ⁶⁾ wyraża na papierze i na co sama *fremił natura*, ⁷⁾ dość gdy nadmienimy, że w pierwszej powiastce, w której koroniarz spiera się z litwinem o pochodzenie kilku polskich pisarzy, nie wspomniano o pewnym współpracowniku warszawskiej gazety, chociaż ten kiedyś na Litwie rymował „*pieśni z pokłonem*“ a dziś w Królestwie jest rewizorem patriotyizmu. Nie mniej bezecną jest druga książeczka p. Konopnickiej, która po prostu oskarża kościół o roszszarpanie Hipaty, uwięzienie Vesaliusza i Galileusza, jak gdyby czyny te nie stanowiły jego gloryi. Zważywszy przytem, że zbrodnie te popełnione zostały w Wilnie, że wszystko opisano nie *animo disputandi*, lecz *decisive i positive* ⁸⁾, że tu zachodzi nietylko *error in intellectu* ale i *pertinacia in voluntate* ⁹⁾, żądamy in *genere poenae* ¹⁰⁾, ażeby tak zbrzydliwe książki wpród ta nieszczęśliwa pałała ręka, która je pisać odważyła się.

Taka jest osnowa oskarżenia wniesionego na sejm dzienników warszawskich, które, jak widzimy, grozi gardłem.

Niepodobna dwu słabych niewiast pozostawić bez ratunku i dla tego podejmuję obronę ich, tem więcej, że mimowolnie przyczyniłem się po części do wytoczenia im procesu. A więc:

Prześwietne stany bogobojnej prasy! Jak wnioskuję z aktu oskarżenia, „*Pokociło się*“ i „*dam nogę*“ gorszy was głównie przez to, że litwin nie walczy z koroniarzem o wielu zacnych mężów, których przed sobą widzę; ponieważ zaś do tego sporu autorka nieopatrznie wrzuciła moje nazwisko, ustępuję więc wam miejsca. Wydrzyjcie z książki odnośną kartę, zapiszcie i wlepiec inną, a ja nietylko nie będę miał żadnej pretensyi, nietylko dyalog Orzeszkowej nie straci dla mnie ani odrobiny ze swojej wartości, ale nadto pozwalam, ażeby o każdego z was poczuło się siedmiu litwinów z siedmioma koroniarzami. Rzekę więc nie zasłużyłem na to, ażeby mnie dwa plemiona wzajemnie sobie wydzyrały, tymczasem inni posiadają zupełne do tego prawo. Kiedy ja jeszcze czytać nie umiałem, już najbardziej urażony i zainteresowany w tej sprawie delegat *Gazety Warszawskiej* opisał w Wilnie „dla użytku polskiego urodziny, powołanie i suchoty gorzalki.“

Dla czegoż więc on nie ma być spornym Homerem, zwłaszcza że pisywał także i „*pieśni*“, których ja nigdy nie próbowałem?

Co do pani Konopnickiej, winienem zwrócić uwagę, że ruch myśli nie stosuje się do obiegu ziemi; że jakkolwiek zegar w jednym miejscu wskazuje godzinę dziesiątą a w drugim jedenastą, nie znaczy to wcale, ażeby w pierwszym ludzie byli o jeden stopień głupszy, niż w drugim. Chociaż więc Wilno, jako położone na wschód od Warszawy, przedstawia różnicę w pomiarze czasu, nie dowodzi to bynajmniej, ażeby Litwa była ciemniejszą od Królestwa, tem bardziej, że nad nią wprzód słońce wschodzi. Na dowód tego, przejrzyjcie dostojni obywatele swoje spisy prenumeracyjne i księgarskie, a zobaczycie w nich, na ilu litwinów przypada jeden koroniarz i kto to głównie wykupuje najpoważniejsze dzieła. Może przekonacie się, że ci barbarzyńcy nie potrzebują już krzyżackiego apostołstwa, że to są ludzie bardzo dojrzały, oświeceni, zahartowani w ogniu ciężkich doświadczeń i pod ładą nagięciem się nie kruszą. Oni wcześniej

¹⁾ Umysł wzdyga się pomyśleć a język wypowiedzieć. ²⁾ potwór. ³⁾ wydać. ⁴⁾ wykladać znaczenie. ⁵⁾ Polska nie rodzi potworów, ⁶⁾ z rozmysłem, ⁷⁾ wzdyga się natura, ⁸⁾ nie dla obalenia, lecz stanowczo i twierdząco ⁹⁾ nietylko obłąd umysłu ale i ztwardziałość woli ¹⁰⁾ co do rodzaju kary.

JUBILEUSZ NEWTONA.

(Wspomnienie)

rozpoczęli walkę o byt, większą też w sobie wyrobili dzielność. Jeżeli czego żądają od naszej literatury, to zawsze rozszerzenia jej widnokręgu, nie zacieśniania do teatru i zakrystyi, nieprzeżuwanie trawy, którą z tradycyjnego żołądka dobywamy. Oni umieją już żyć przy tem świetle, na które my jeszcze przymrużamy oczy. Nie kłopotcie się więc o ich zdrowie po przeczytaniu książki p. Konopnickiej; bo kiedy wy ją tylko ogryzacie, oni ją doskonale strawią. Rozsądnik ultramontanizmu w Wilnie—zbyteczny, a na potrzeby religijne Ostra Brama wystarczy. Śmieszna jest ta protekcyjnalna mina, z jaką mówimy o naszych plemiennych krewniakach; my, wytrawni myśliciele, możemy czytać dzieje przyrody Haeckla a litewskie żaki niech studują żywoty świętych; jak podrosną i dojrzeją, pozwolimy im zajrzeć do swobodniejszych książek. A tymczasem owe litewskie, ukraińskie i podolskie żaki znają to, czemu my przez szyby wystaw księgarskich figę pokazujemy. I dla tego sądzę, nie należy ich opasywać kordonem prawomysłowości, a „nieudolnych aspiracji“ p. Konopnickiej, która przekradła się do nich ze swoją poetyczną dżumą, tak srogo karać. Nie zaszkodzi ona Litwie i nie obraża Helikonu. Bo chociaż zawsze ścisły w swych wywodach *Kurier Warszawski* twierdzi, że kierunek *Fragmentów* „wrogim jest poezyi“, dodaje wszakże, że „powinny one zająć zaszczytne miejsce pomiędzy temi, co się u nas obecnie na niwie poetycznej ukazują.“ Wreszcie, dostojni panowie, wstrzymajcie miecz swojej pomsty nad nie-szczęśliwą ofiarą, ażeby nawet *Dziennik Warszawski* nie urągał „tabunom swojemu“ polskiego myślenia i nie mówił, że „ani jedna literatura w świecie nie objawia takiej nietolerancji dla samodzielności cudzych przekonań, jak współczesna literatura polska a nadewszystko może warszawska“. Nie sądzicie, ażeby każda z głów waszych była słońcem, około którego wszystkie inne krążąć muszą. Jeżeli zaś koniecznie chcecie kogoś potępiać, jeśli wam to potrzebne dla życia, dla zdrowia, dla dobrej opinii, to już lepiej przesładujcie śmiało oszustwa, niż śmiało myśli. Oto świeżo zdradzono tajemnicę jednej giełdowej piekarni i okazano, jakich drożdży należy używać, ażeby bankierskie ciasto szybko rośło. Drożdże te nazywają się technicznie: „kleine Differenzen“, środek zaś powstrzymujący nadmierne ich działanie — „Ausgleichung“. Według mnie autorka *Fragmentów dramatycznych* daleko mniej zawiniła, niż dużo wymagający autorowie *drobnych różnic*, przeciwko którym nie wystąpił żaden instygator i na których nie *fremt* nasza dziennikarska natura.

Wy zaś, podstępne, cokolwiek orzeknie w waszej sprawie dostojny trybunał prasy warszawskiej, nie zlorzeczcie losowi; bo jeśli *Gazeta Warszawska* najznakomitszego historyka niemieckiego radzi „trochę przechłostać“ za to, że „plecie niedorzeczności“ w swej broszurze o żydach, to nie popełnia krzywdy, żądając, aby was wyświećlono z Wilna. Jest to w każdym razie znacznie łagodniejszy stopień kary.

Jeszcze słów kilka pozwolę sobie zwrócić do galerii naszego sejmu. Ty, przypatrująca się naszym obradom publiczności, mniemasz zapewne, że my przedstawiciele literatury idziemy w postępie myśli o krok przed tobą. Niestety! nie mamy już zdrowych nóg XVI lub XVIII w., podagra tak nam je osłabiła, że nie możemy podążyć za tobą. To też nieraz, gdy ogół, któremu mamy przewodniczyć, już daleko się posunął w swym duchowym rozwoju, my jeszcze palimy ogniska tradycyjnych sobótek i przeskakujemy przez nie na chwałę bogów cywilizacji.

Posel prawdy.

Właśnie upłynęło dwieście lat, jak główne dzieło Newtona *Matematyczne zasady filozofii natury*, zawierające między innymi fizyczny dowód środkowego położenia słońca w układzie świata, zostało przedstawione londyńskiej Akademii Nauk. Z roczników tego towarzystwa—powiada M. H. Waldmann—wiemy z pewnością, że członkowie komisji, wyznaczonej do zbadania tej pracy, nie tylko nie umieli sprostować jej usterek, ale nawet jej nie zrozumieli. Leibnitz, jedyny z uczonych, który mógłby poddać temu zadaniu, uparcie odmawiał przeczytania książki i twierdził stanowczo, że taki dowód jest nie tylko niemożliwym, ale że całe dzieło jest po prostu matematyczną mrzonką! Była to niechęć, wywołana sporem o pierwszeństwo wynalezienia rachunku różniczkowego, czy też obawa, ażeby fakt takiej doniosłości nie zaćmił wszystkich innych zdobyczy naukowych, z których znaczny dział chwały przypadła wielkiemu filozofowi? Odgadnąć trudno, chociaż to pewna, że niema przykładu w całej historii nauk, w którymby wszystkie fakty, potrzebne do wyprowadzenia ostatecznego wniosku, były nagromadzone w sposób tak prawidłowy i zarazem jasny, jak właśnie w teorii prawa powszechnego ciążenia.

Już Gilbert, twórca nauki o elektryczności, twierdził (w 1600 r.), że kula ziemską jest potężnym magnesem i że za pomocą siły przyciągającej i odpychającej utrzymuje księżyc w obiegu. Galileusz podziwiał ten wspaniały pogląd. Huigens, opierając się na prawie cykloidy, dowodził, że kierunek prostoliniowy spadającego ciała już w odległości jednego promienia ziemskiego ulega zbroceniu. Descartes uczył, że każdy ruch ciała swobodnego na powierzchni ziemi powstaje z połączenia siły rzutu i siły ciężkości. Hooke, ówczesny sekretarz Akademii Nauk, będący dziwnym zlepkiem genialności i dyletantyzmu, żądał od Newtona rozwiązania zadania, jak należy ustosunkować siłę rzutu i siłę ciężkości, aby powstał ruch eliptyczny. Słowem, wielu myślicieli przeżuwało, badało, rozmyślało nad tem, co na koniec jeden geniuszem swym przeniknął i po części przypadkowo wydarł.

Newton oparł swe obliczenia na ruchu księżyca, przyjmując, że on znajduje się w odległości sześćdziesięciu promieni ziemskich i że w skutek tego musi istnieć odpowiednie zmniejszenie szybkości. Rachunek wypadł dobrze, z małą jednak różnicą. Newton nie zadowolnił się tem, a uważając, że ta różnica przeczy założeniu, uznał je za błędne.

W parę lat później przedstawiono Towarzystwu sprawozdanie o rezultatach pomiaru południka, dokonanego przez astronoma Picarda. Obecny przytem Newton, wziął z sobą jeden zeszyt sprawozdania. Odczytując je w domu, znalazł, że poprzednio przyjmował niedokładną wielkość stopnia południka, mianowicie 13 zamiast 15 mil, a sprostowawszy liczby, sprawdził rachunek. Pokazało się, że rachunek był dokładny.

Wtedy to właśnie (nie zaś, jak opowiadają, na widok spadającego jabłka) doznał tak silnego wzruszenia, że nie był w stanie dokończyć sam rachunku, lecz oddał go do przejrzania przyjacielowi. Pokazało się, że księżyc zbacza od linii prostej o 5 stóp na minutę, co właśnie odpowiada szybkości swobodnie spadającego ciała z odległości sześćdziesięciu promieni ziemskich, nabytej w ciągu pierwszej minuty.

Tem zachęcony, postanowił zastosować swą teorię do ruchów całego systemu słonecznego. Pomogły mu trzy prawa Keplera, polegające na tem: 1) że wszystkie

planety poruszają się po drogach eliptycznych, a słońce jest wspólnym ogniskiem wszystkich tych elips. 2) że wycinki powierzchni opisane promieniem wodzącym planety w równych czasach są sobie równe, i 3) i że sześciiany średnich odległości planet od słońca są proporcjonalne do kwadratów z czasów ich całkowitego obiegu. Otóż Newton wykazał, że wszystkie te zjawiska są koniecznym następstwem jednego i tegoż samego zasadniczego prawa—powszechnego ciążenia materji kosmicznej, i że trzy wspomniane prawa wzajemnie się warunkują, jeżeli trzecie zmienimy w ten sposób: sześciiany średnich odległości planet od słońca są proporcjonalne do iloczynów kwadratów czasu ich całkowitego obiegu przez sumę masy słońca i planety.

Tak więc dokonane zostało dzieło, zajmujące jedno z najwyższych i najświetniejszych stanowisk wśród prac umysłu ludzkiego. Na współczesnych wywarło ono olbrzymie, bezprzykładne wrażenie. A chociaż nawet koła najukształconejsze więcej wierzyły dokonaniem odkrycia, niż je dokładnie pojmowały, jednak powszechnie odczuwano całą małość wobec niego wszystkich innych ludzkich zdobyczy duchowych. Young i Pope, wyrazili to uczucie w swoich poezjach.

Po tryumfie nastąpiła komiczna scena. Hooke, który proponował Newtonowi wyżej wspomniane zadanie, chciał rościć pretensję do odkrycia. Ale już sąd opinii współczesnej nie chciał nawet rozpatrywać tego śmiesznego zażalenia.

Życie prywatne Newtona stało się niezwykle świetnem od chwili tego zwycięstwa. W domu jego zgromadzały się wszystkie znakomitości angielskie. Katarzyna Burton, siostra wielkiego myśliciela, odznaczająca się pięknosciami i wieloma przymiotami umysłu, nie mało przyczyniła się do nadania życia temu towarzystwu. Lord Halifax, pierwszy minister, należał do jej najgorliwszych wielbicieli. Z tego powodu szyderczy Wolter twierdził później, że świat zawdzięcza odkrycie powszechnego ciążenia sile przyciągania, jaką wywierała Katarzyna Burton na angielskiego pierwszego ministra. Wbrew temu twierdzeniu należy zapisać fakt, że gdy *Principia* wyszły na świat, Burton była jeszcze małym dzieckiem.

Helmholz utrzymuje, że Newton mniej zawdzięcza swą transcendentalną sławę stanowczej wyższości nad innymi przyrodnikami, jak raczej temu, że mógł dowieść swej teorii na gwiazdzie niebie i że wiele innych odkryć (np. prawo zachowania siły) wymaga jeszcze większej zdolności abstrakcyjnej. Lekka przesada! Newton posiadał w najwyższym stopniu zdolność odśladania tajemnic natury. Należy pamiętać, że wynaleziony przez niego rachunek różniczkowy posłużył mu za podstawę do dalszych badań. Godnem jest również podziwu, że ten sam człowiek, który odkrył prawa ruchu ciał niebieskich, zdołał zarazem ogarnąć najsubtelniejsze fizyczne zjawiska światła i barwy!

I do tego pomógł mu przypadek, który jednak... nastrocza się wszystkim ludziom, a tylko geniusze zeń skorzystać umieją. Chąc obliczyć współczynnik załamania się światła, przeprowadził jego promień przez pryzmę do ciemnego pokoju. Wtedy odkrył, że światło rozkłada się na pierwiastki barwne. Jak długo temu nie wierzone, dowodem Goethe, który blisko 25 lat walczył z teorią Newtona, lecząc ludzi z tego „błędu“.

Pod względem literackim *Principia* były zawsze podziwiane jako dzieło klasyczne. Panuje w nich uroczyisty ton, w niektórych miejscach przebiega się nadzwyczajna skromność, jak gdyby pouczająca, o ile nielką jest nasza wiedza w porównaniu z niewiadomością. Newton zaleca, aby dzieła jego nie uważać za ostatni wyraz badanego

przedmiotu, ale raczej za zachętę do dalszych poszukiwań.

Do jakiego stopnia prześcigał on współczesnych swymi naukowymi pracami, widać najlepiej z tego, że jeszcze przez pół wieku wykładano w uniwersytetach fizykę według pojęć Descartes'a a prawa Newtona dodane były tylko w postaci komentarza. Dopiero Voltaire w swych *Zasadach filozofii Newtona* upowszechnił je w szerszych kołach, co nie przeszkodziło jednak wojującemu natchnieniami Heglowi utrzymywać, że „Newton przywłaszczył sobie sławę, która właściwie powinna była przypaść w udziale Keplerowi.“

Cokolwiek myśl przyszłości zrobi z odkryciami Newtona, to pewna, że Heglowie dotąd ich nie podważyli, że ciągle stanowią one podstawę w badaniach natury i część zakładowego kapitału nauki. Wraz z całym ucywilizowanym światem korzystamy z duchowych procentów od tego kapitału, i my więc uczcijmy dwuchsetletnią rocznicę urodzin wielkiego dzieła, którą ziomkowie genialnego badania obchodzą bardzo uroczysto. Zaczyna Adryan Krzyżanowski powiada: „Kopernik był ojcem Keplera i Galileusza, a dziadem Newtona“. Jest to więc święto tryumfu wnuka naszego nieśmiertelnego rodaka.

Władysław Sz.

W PERSPEKTYWIE.

Badamy, wszyscy badamy. Jedni z nas, wpatrzeni w olbrzymie teleskopy, obserwują światło, zaćmienia i plamy wielkiego słońca, które obraca się w Friedrichsruhe naokoło swej osi i około którego krążą wszystkie ciała... polityczne; drudzy przez lunety przypatrują się ruchom księżyców; inni, założywszy monokl lub binokle, podziwiają grupę gwiazd artystycznych; inni wreszcie, nachyleni nad mikroskopami, odkrywają wielkość i zadowolenie swojskich robaczek świętojańskich. Wszyscy więc badają—czy jednak wyczerpują cały widnokrąg publicznej obserwacji? Czy pomiędzy politycznym słońcem a świętojańskim robaczkiem, między księżycami a gwiazdami artystycznymi, między Bismarkiem a Papuzińskim, między Puttkamerem a Kochańskim, niema już nic godnego uwagi? Tak sądziłem długo, wraz z innymi astronomami prassy naszej. Pewne wszakże zjawiska w tej za pustą uważanej przestrzeni zwróciły moją uwagę. To przeleciał przez nią jakiś ogniasty meteor Jackowskiem zwany, to zabłyszczały „spektakliki“ amatorskie, to odezwały się grzmoty i pioruny. A więc tam coś jest, porusza się w tej sferze, którą mianujemy *provincją*? Biorę nie teleskop, bo sięga za daleko, nie binokle—bo za blisko, ale *perspektywę*, która przysunie nam odleglejsze przedmioty uwagi naszej godne. Co przez nią dostrzegę, to wam tu czytelnicy opowiem.

Nie potrzeba nawet szkielec, bo gołem okiem dostrzedz można już zaćmionego nieco w *Kaliszanie* p. Niemojewskiego i błyszczącego świetnie p. W. S. w *Gazecie Lubelskiej*, uwiadamiającego publiczność, że w Warszawie zacznie wychodzić *Prawda*, która ma go obrabować z tego, w co „się od dziecka wierzyć nauczył.“ Pomińmy jednak te prowincjonalne gwiazdy i popatrzmy na jeden punkcik ciemny w konstelacji *Gazety Lubelskiej*. Oto co w niej czytamy:

„Od jednego z poczthalterów otrzymaliśmy prośbę, by organa krajowe wyjednały zezwolenie przyjmowania składek na głodnych poczthalterów, gdyż dotąd — jak twierdzi korespondent — samemi kartofla-

mi karmić się musieli; obecnie z powodu wysokich cen na owies i siano, konie resztki kartofli dojadają i wkrótce wraz ze swymi panami udać się będą musiały na wieczny spoczynek. Trąbki pocztowej nikt nie posłyszysz, a listy i gazety, które dzisiaj, zapewne w skutek braku owsa dla koni, cały tydzień potrzebują na przebycie kilkunastu mil drogi, wcale dochodzić nie będą. Nastanie w kraju naszym cisza, przerywana tylko czasami żargonem spekulantów, przybyszających po skórki i miarowym krokiem strażnika ziemskiego...“

Piękna perspektywa! Ależ to treści mieści się w tych kilku wierszach! Jest tu dramat, humoreska, traktat społeczny i polityczny — co chcecie. Dla mnie jest to przedewszystkiem dramat; jeśli bowiem tak ma być, to w cóż się obróć moje nadzieje służenia czytelnikom wiadomościami z kraju? Z ostatnich słów skargi wnosząc, staną się one dostępnymi chyba tylko dla *Israelity* i *Warszawskiego Dniwnika*! Ale nie poddawajmy się rozpacz, panie „poczthalterze.“ Europa, bądź co bądź, pomalutką zbliża się do nas... może nam jeszcze wystarczy kartofli, dopóki nie nastaną „lepsze czasy.“

Tymczasem żyjmy nadzieją. Nie my jedni przecież, panie poczthalterze, skazani jesteśmy na ten idealny pokarm. Ot, na przykład miasta prowincjonalne, jak to dawno żyją nadzieją utworzenia dla nich Towarzystwa Kredytowego—a przecież żyją i podobno dożyją spełnienia pożądanego faktu. W *Korespondencie Płockim* czytam bowiem:

„Wygotowany przed kilkoma laty przez Dyrekcyę Główną Tow. Kred. Ziemsk. projekt Towarzystwa Kredytowego dla miast prowincjonalnych, którego oddziały mieściłyby się przy Dyrekcyach Szczegółowych Ziemskich, dotychczas przychylnego zatwierdzenia władzy wyższej nie uzyskał. Obecnie Lublin, który od niejakiego czasu okazuje więcej troskliwości o dobro własne od innych naszych miast gubernialnych, postanowił podnieść projekt Dyrekcyi Główniej. W tym celu miasto wydelegowało w własnym imieniu obywatela swego, inżyniera Suligowskiego do generał-gubernatora warszawskiego, aby prośbę mieszkańców o utworzenie takiego kredytowego oddziału w mieście Lublinie wniosł i poparcie dla projektu zyskał. W odpowiedzi na przedstawienie delegata JW. generał-gubernator zapewnił podobno, że sprawę tę już dawno ma na sercu i że całym swoim wpływem poprze ją w Petersburgu. Warto byłoby, aby i inne miasta ujawniły tą drogą pilną potrzebę podobnej instytucji kredytowej.“

Oj, wartoby, warto „ujawniać“ tak nie tylko konieczność przyprawienia nareszcie tego rzeczywiście „wygotowanego“ już projektu, ale wartoby w ogólności nie czekać, aż pieczone gołąbki same wpadną do gąbki; wartoby nie spać w objęciach biernej apatii, poczuwać się do praw obywatelskich, których istota niezależnie od zakresu dostępnej działalności jest zawsze ta sama, wartoby więcej „pukać“ aby otworzono, wartoby... ale hola! zostawmy sobie trochę swady na przyszłość.

St.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa d. 6 stycznia.

Na samym schyłku ubiegłego roku zmarszczyła się znowu powierzchnia sąsiedzkich stosunków pomiędzy Rosją a Niemcami, która przetrzawszy już dość gorące chwile, w ostatnich czasach wygładziła się prawie zupełnie.

Wojowniczy zapal prasy obustronnej ostygł, a niemcy, którzy już robili głębokie studia na temat: polski teatr wojny,

dzisiaj ograniczają się na wywijaniu chorągwią cesarstwa przeciw żydom w kawiarni „unter den Linden.“ Potrzeba jednak było maleńkiej tylko rzeczy, aby uciśle żywoły pobudzić do nowego zatargu. Potrzeba było tylko podwyższenia cła od towarów wprowadzonych w granice państwa rosyjskiego o 10%, aby całe Niemcy na nowo zawrzały oburzeniem na „niewdzięcznego“ sąsiada. Jak żywo rozporządzenie rządu rosyjskiego dotknęło niemców, najlepiej może okazać fakt, że nawet wielki odludek, ks. Bismark porzucił swoje *Tusculum* w Friedrichsruhe, aby pospieszyć do Berlina, którego tak starannie unika, że — jak to dzienniki tamtejsze obliczają — wszystkiego razem dwa tygodnie w ciągu całego roku był obecnym w stolicy, raz się pokazał w parlamencie cesarstwa, a sejm pruski ani razu nie miał szczęścia widzieć oblicza prezesa królewskiego ministerium. Dopiero tedy cło rosyjskie wypędziło lwa z puszczy. Na sejmie, który się wkrótce zbierze na dalszy ciąg sesji, ma być za porozumieniem z rządem wniesiona interpelacya w tej sprawie, na którą kanclerz sam zamierza odpowiedzieć i sam się zabrać do „represyjnych“ środków. Ustawa celna niemiecka ma być zmienioną w duchu upoważnienia rządu do podwyższania cła względem tych krajów, których taryfa niekorzystną jest dla Niemiec. Znosi się więc na „wojnę cłową“, za którą jednak Niemcy nie będą pewno wdzięczne swemu kanclerzowi, tak samo, jak nie mają racji dziękować mu za dotychczasowe jego eksperymenty ekonomiczne. W stosunkach obecnych od nas wywoła się do Niemiec przeważnie towary surowe, jak: zboże, drzewo, bydło, które są tam niezbędne, a przeto podwyżka cła od nich dotknie tylko spożywców niemieckich.

Parlament angielski zbiera się dzisiaj. Rozpoczyna się zatem okres bardzo ważny nie tylko w bieżącej polityce, ale może nawet w dziejach angielskich. Jeśli bowiem gabinet liberalny teraz rzeczywiście upadnie, rządy torysowskie niewątpliwie na długo się utrwalą. Położenie w Irlandyi nieustannie się zaognia. Mówią już o nocnych ćwiczeniach oddziałów zbrojnych. Rząd zdecydował się przedstawić parlamentowi wprzód wniosek o środkach wyjątkowych do stłumienia ruchu a następnie dopiero bil o reformie stosunków rolnych. W Afryce położenie anglików wygląda nader smutno. Jediną drogą wyjścia byłoby zrządzenie się aneksyi kraju boerów holenderskich, czego też zaczyna się domagać nawet angielska opinia publiczna, choć dotąd dosyć nieśmiało.

Na widowni spraw wschodnich rok nowy rozpoczął się upadkiem projektu sądu polubownego między Grecją a Turcją, który obie strony sporne odrzuciły. Dyplomacya zabiera się do nowych prób pojednawczych, o których nie jeszcze dotąd nie wiadomo. Niezależnie jednak od tych pokojowych zabiegów ustala się przekonanie, że wiosną powita Europę odgłosem strzałów z Tessali i Epiru a może i w dalszych krajach bałkańskich.

Szanowni abonenci nasi zechcą łaskawie donosić nam o każdym opóźnionym lub zaginionym numerze PRAWDY.

Dwa zeszyty *Historii Filozofii* Langego zostały wysłane.

Sprostowanie. W numerze poprzednim błędnie podano kwartalną cenę *Prawdy* w Warszawie; zamiast 2 rs. 50 k. winno być rs. 2.